Nr. 168. Lwów — Środa dnia 26 Lipca. **Rok 1905.**

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. ... 3 " — " ... w innych Państwach . 4 " — " Za zmianę adresu dopłaca się 40 " Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h. Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i przedpłatę miejscową przyjmuje wyłącznie: Agencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9. Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem " " 6 h. korespondencye prywatne " " 10 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Anny M. NMP. Sobór Gabryela | Jutro: św. Natalii P. Akwilasa Ap. | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | **Rękopisów** Redakcya nie zwraca. | Wschód słońca o godz. 4 m. 32, Zachód " " 7 m. 36 | Długość dnia godzin 15 m. 4, Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Czas odnowić przedpłatę!
Wynosi ona na prowincyi:
miesięcznie 2 K. 20 hal.
półrocznie 13 " 20 "
rocznie 26 " 40 "
Za zmianę adresu dopłaca się 40 hal.

Wojna.

Donoszą z Petersburga do pism berlińskich, że kilka dni temu, już po odjeździe p. Wittego do Paryża, car zaprosił na śniadanie oficerów pułku ułanów gwardyi, którzy tego dnia zajmowali warty w peterhofskim pałacu, a po śniadaniu, podczas *cercle'u*, tak się do swych gości odezwał: „Jestem niezachwianie przekonany, że od naszej armii w Mandżuryi możemy oczekiwać zwycięztw, które już pomyślnie dla nas zakończą wojnę“. Jeżeli to prawda i jeżeli car tak się odezwał nie dlatego, aby skłonić Japonią do największego umiarkowania w żądaniach, to chyba car nie jest jeszcze ostatecznie zdecydowany na pokój. Daremnie jednak wpływać na Japończyków takimi frazesami. „Ci Azyaci wszystko wiedzą!“ — woła o nich angielski wódz wyprawy do Pekinu podczas bokserskiej awantury i na dowód przytacza takie zdarzenie: „Kiedyśmy maszerowali na Pekin, posłałem adjutanta do jenerała Walderseego, aby się dowiedział, ile wylądowało wojsk zagranicznych. Adjutant wrócił z niczem; nie znalazł Walderseego, a w jego sztabie nie wiedziano, czy taką tajemnicę można wydać. Nie ukrywałem mego niezadowolenia z niemieckiej pedanteryi, wtem zbliżył się do mnie japoński major, wyjął czerwoną książeczkę, coś na niej zliczył i rzekł: „W tej chwili jest wojsk cudzoziemskich w Chinach dziesięć tysięcy bez pięciu żołnierzy“. W parę godzin potem otrzymałem od Walderseego bilecik z następującemi słowami: „Niestety, Excelencyo, rozporządzamy siłą bardzo niewielką: jest nas tylko w całej koalicyi 8005 osób“. Pokazałem ten bilecik japońskiemu majorowi, a on się uśmiechnął i rzekł: „Widocznie wódz naczelny nie wie, że dziś z rana wylądowało w Taku jeszcze 1990 żołnierzy“. Potem się dowiedziałem, że Japończyk miał racyę. Wcześniej od naczelnego wodza wiedział on to, co sztab główny uważał za tajemnicę. Później się przekonałem, że ci Azyaci wszystko wiedzą“.

Tak być powinno na wojnie, która jest „czemś największem na świecie“ jak się wyraził Ruskin. Z pewnością tedy Japończycy dokładnie obliczyli szanse dalszej wojny i żadnymi frazesami nie dadzą się zmiękczyć. Zresztą oni tak się zachowują, jak gdyby wcale nie spodziewali się prędkiego zakończenia wojny. Na Sachalinie w kilku punktach nadbrzeżnych zaczęli budować szańce murowane i sklepione, a to zapewne dlatego, że w kołach dyplomatycznych poczęto mówić o konieczności zwołania kongresu międzynarodowego, któryby podyktował Japonii, czego jej wolno się domagać od Rosyi. Do takiego kongresu pewnie nie przyjdzie, bo się nań nie zgodzi Anglia, a zapewne także Stany Zjednoczone, lecz na wszelki wypadek Japonia się zabezpiecza, aby już nie potrzebowała ustępować z Sachalinu. W cieśninie morskiej między tą wyspą a lądem syberyjskim krążą jej torpedowce, ustawicznie zaglądając do wszystkich rosyjskich portów od Nikołajewska przy ujściu Amuru aż do portu Św. Olgi. Z tego właśnie powodu doniesiono kilka dni temu, że oddział japoński wysiadł na ląd w św. Oldze, ale to się nie stało, o czem dziś już napewne wiadomo. Flotylla torpedowców tylko straszy Rosyan, spędziła z morza rybaków, którzy teraz właśnie rozpoczęli byli połów ryb, aby je suszyć lub solić na cały rok, oraz wyławia barki, co się z żywnością przekradają do małych portów tuż pod Władywostokiem. W ten sposób torpedowce odbierają żywność temu miastu, już otoczonemu od strony morza, a w skutek tego komendant rosyjski jenerał Kazbek kazał usunąć z miasta całą cywilną ludność. Atak na Władywostok odbywa się teraz tylko z południowej strony, mianowicie od granicy koreańskiej, nad rzeką Tumenem i zatoką Possieta. Eskadra japońska już zaczęła ostrzeliwać tamtejsze forty, a lądowy korpus jenerała Hasegawy przysunął się do granicy. Jeżeli tam Rosyanie zechcą stawiać opór, to bitwa lądowa, wspierana ogniem z okrętów, lada dzień będzie stoczona. Ostatnie wiadomości stamtąd pochodzą od Rosyan i noszą datę piątkową. Bardzo być może, iż bój już się tam toczy. Lecz trzeba przypuszczać, że Rosyanie nie będą walczyli do upadłego, gdyż za mało mają wojska we Władywostoku, aby mieli narażać je na straty w podrzędnych starciach. Po przejściu przez Tumen jenerał Hasegawa niezwłocznie posunie się pod Władywostok, aby mieć za sobą port w zatoce Possieta i tam urządzić przystań dla dowozów, które dotychczas szły do jego korpusu z dość odległego Genzanu po bardzo złych drogach. Sama tedy konieczność zaprowiantowania wojska zmusza jenerała Hasegawę iść na Władywostok zaraz po przekroczeniu granicy. A skoro on zbliży się do tej twierdzy, natychmiast musi zacząć się oblężenie. Tak więc Rosyanie zapewne będą mieli drugą seryę wrażeń, doznawanych pod Portem Artura, — będą ją mieli z pewnością, jeżeli się przewloką układy o pokój.

Z mandżurskiej widowni wojny donosi jenerał Liniewicz, że Japończycy zaczęli gromadzić ogromne masy wojsk na wschodniem skrzydle, w okolicy Tszensiapudsi, gdzie — jak to pisaliśmy kilka dni temu — musi wśród węzła stromych skał zacząć się wstęp do wielkiego boju na całym strategicznym froncie. Tu znowu Japończycy pierwsi zaczynają, chociaż Rosyanie stale utrzymywali, że jen. Liniewicz postanowił przejść do ofensywy.

Zamach na sułtana.

Dokładne opisy wypadku, który w zeszły piątek zdarzył się w Konstantynopolu, a znany już jest z telegramów, nie pozwalają wątpić, że był to dynamitowy zamach na sułtana. Abdul-Hamid, który wstąpił na tron kalifów 31 sierpnia 1876 roku, nie jest lubiany przez swych poddanych. Muzułmanie zarzucają mu, że dopuścił do znacznego uszczuplenia państwa. Rzeczywiście, podczas jego rządów odpadły od Turcyi najbogatsze jej prowincye: Bułgarya z Rumelią, Dobrucza, Nisz, Bośnia i Hercogowina, część Tessalii, wyspy Rodos i Kreta, w Afryce Tunis i Egipt, a w Azyi duża część Armenii. Fanatycy muzułmańscy mają sułtanowi za złe, że podlega wpływom niemieckim, a postępowcy, że odebrał narodowi konstytucyę, nadaną przez jego brata. Fanatycy urządzają więc ustawiczne spiski, w których największy udział biorą „softowie“, czyli uczeni teologowie islamu, postępowcy zaś utworzyli stronnictwo młodotureckie, bardzo już liczne na emigracyi, zdaje się jednak, że niemniej liczne w kraju. Oba te muzułmańskie stronnictwa odmawiają Abdul-Hamidowi prawa do zasiadania na tronie, ponieważ on pochodzi podobno nie z księżniczki krwi, lecz z jakiejś izraelitki, która była jedną z dam haremowych. Chrześcijańscy poddani sułtana mają wszelkie prawo uważać go za swe nieszczęście; trzykrotnie dopuścił on do rzezi Ormian, a w Macedonii, Starej Serbii i Tracyi podszczuwał na Słowian baszybozuków i Albańczyków. Ponieważ sam wszystkiem rządzi, więc też na niego za wszystko spada odpowiedzialność. Znienawidzony powszechnie, otoczony faworytami, którzy zdzierają naród, a rozkradają skarb, mądry tylko w dyplomatycznych wykrętach, sam żyje jak więzień i jak człowiek, który się ciągle obawia skrytobójców. Poprzednicy jego raz na tydzień, zawsze w piątek, który jest muzułmańską niedzielą, pokazywali się narodowi na białym koniu, w otoczeniu licznych dostojników i malowniczej gwardyi; roztaczali wówczas bajeczny azyatycki przepych, który cieszy, bawi i dumą napełnia mieszkańców wschodu; przed sułtanem, jadącym konno do meczetu Aija-Sofia, szli jego kasyerzy, siejąc między ludem drobne monety; po nabożeństwie padiszach wracał do swego pałacu, a za nim walił tłum, rozsiadał się na krużgankach, napełniał ogrody i cały dzień ucztował na koszt sułtana. Wszystko to zniósł Abdul Hamid. W mieście pokazuje się tylko raz na rok, po długim poście Ramazan, kiedy mu religia nakazuje pomodlić się przy szczątkach szaty proroka Mahometa w wielkim meczecie Aija-Sofia. Ale wtedy policya usuwa ludność z ulic, każe zamykać okna i sklepy, a sułtan przemyka się w karecie. W zwykły piątek, czyli selamlik, co dosłownie znaczy „dzień pozdrowienia“, Abdul-Hamid odwiedza tylko swoją pałacową meczeję.

Ildiz-Kiosk — to duża dzielnica, pełna pałaców, pawilonów, ogrodów i placów. Abdul-Hamid otoczył ją murem, basztami i nawet kilku fortami, z których działa patrzą na miasto i na Bosfor. Osobny marszałek jest komendantem tej twierdzy, a załogą jej Czerkiesi, Albańczycy i trypolitańscy żuawi, — nikt z Turków, bo sułtan im nie dowierza. Naprzeciw pałacu Gwiazdy, w którym Abdul-Hamid sam mieszka, po drugiej stronie obszernego placu, zbudował on niezbyt wielki meczet Hamidie, do którego karetą się udaje w każdy selamlik. Po obu stronach meczetu wznoszą się otwarte pawilony: jeden dla dyplomatów, drugi dla dygnitarzy cywilnych. Wojsko tworzy czworobok. Kiedy na wysokiej galeryi minaretu przebrzmi śpiew muedzina, wzywającego wiernych do modlitwy, wówczas sułtan wyjeżdża z pałacu. Powóz jego toczy się najpierw wzdłuż pałacyków różnych dostojników dworskich i tu się sułtan kłania publiczności, dopuszczonej do okien, potem cały orszak przesuwa się mimo wojska. Na wysokich stopniach meczetu pojawia się liczne duchowieństwo w białych zawojach, z brodami po pas, a w szatach zielonych ze złotem; ręce przykłada do czoła, zgina się do ziemi i tak wita sułtana, wstępującego na schody. Potem idzie za nim. Krótko padiszach się modli, bo to jeno ceremonia, publiczne wyznawanie wiary proroka. Znów się pojawia na wysokich stopniach. Muzyka gra hymn, wojsko woła: „Czok Jasza!“ armaty huczą, sułtan kłania się dyplomatom, wzywa do siebie dygnitarzy i rozmawia z nimi, nagradza ich, ułaskawia kogo chce i potem odjeżdża tak samo, jak przedtem, powoli, pokazując ludowi łaskawe oblicze. Tylko że lud tworzą osoby, dopuszczone za biletami przez policyę i marszałka Ildiz-Kioskn.

Otóż w ostatni selamlik, kiedy sułtan po modłach stał jeszcze na stopniach meczetu, nastąpił wybuch o kilkadziesiąt kroków od niego, tam, gdzie stały powozy. Ucierpiało od wybuchu podobno około 60-ciu osób, lecz zabitych jest zaledwo kilku ludzi, między nimi dwóch baszów i jakiś oficer, rodem Niemiec, zginęło natomiast dużo powozowych koni.

Przypuszczają tedy, że nie bomba dynamitowa wybuchła, ale maszyna piekielna, której zegar był źle nastawiony. A że ten zamach zrobiono w takiem miejscu, gdzie nikt z podejrzanych być nie mógł, przeto stąd wniosek, iż zamachowiec musi być chyba muzułmaninem, może softą, a może derwiszem, w każdym razie osobą godną zaufania. Ormianin, Bułgar lub młodoturek nie mógł tam się dostać. Ale gdzie się zamachowiec podział? — nikt nie wie, jest tylko przypuszczenie, że chyba go na drobne kawałki rozerwał dynamit. Wprawdzie natychmiast uwięziono paręset ludzi, lecz nie ma nadziei, żeby winowajca się znalazł.

I to dla sułtana najgorsze. Już przedtem drżał on ciągle o swe życie, obawiając się ustawicznie skrytobójców. Codzień gdzieindziej udawał się na spoczynek, zabronił nawet w gazetach donosić o zamachach, czynionych za granicą, ale sam o nich wiedział i żył w nieustannej trwodze. Z niej tak się w ostatnich czasach rozchorował i osłabł, że choć ma lat 63, wygląda na 80. Teraz, gdy śmierć od dynamitu zajrzała mu w oczy, a on nawet nie wie, kto mu ją niósł i kto może drugą przynieść aż na próg jego domu, pewnie życie stanie się dlań męką.

Młodoturcy zaraz mu powiedzieli, w czem znajdzie pewny ratunek. W swych pismach, wydawanych w Paryżu i Genewie, zawołali doń: „Oddaj narodowi konstytucyę, którą mu zabrałeś! Zwróć mu możność wymierzenia wszystkim sprawiedliwości! Wtedy nic ci nie będzie groziło“.

Nie wiemy, co woli sułtan. Ale jego czynownicy wolą zaostrzyć policyjny ucisk, robić w całem mieście rewizye domowe i — przytem się obławiać.

Korespondencye.

Wiedeń 24 lipca.

(Bliska dymisya namiestnika Tyrolu. — Jubileusz Kufsteinu. — Agitacya antysemitów w Tyrolu. — Organizacya cerkwi prawosławnej w Bośnii i Hercegowinie.)

(y). Z Insbruku donoszą do pism tutejszych, że namiestnik Tyrolu bar. Schwarzenau ustąpi na pewno w jesieni i że dopiero po jego ustąpieniu zostanie Sejm tyrolski zwołany. Właściwie stanowisko bar. Schwarzenaua jest już prawie od roku zachwiane, gdyż szowiniści niemieccy jemu przypisują pomysł utworzenia fakultetu włoskiego na przedmieściu Insbruku Wilten, pomysł, którego zrealizowanie doprowadziło — jak wiadomo — do krwawych zaburzeń ulicznych w stolicy Tyrolu w jesieni roku ubiegłego, które zakończyły się zdemolowaniem budynku przeznaczonego na ten fakultet. Od tego czasu bar. Schwarzenau pozostaje wprawdzie nadal w urzędzie, lecz niechęć przeciw niemu wśród niemieckiej ludności kraju utrzymuje się dalej w całej sile.

Ujawniła się ona i w ostatnich dniach z okazyi jubileuszu czterechsetnej rocznicy oblężenia i zdobycia twierdzy tyrolskiej Kufsteinu przez cesarza Maksymiliana I-go. Komitet, urządzający ten obchód jubileuszowy, chciał namiestnikowi wyrządzić afront i nie zaprosić go wcale na tę uroczystość, i dopiero pod groźbą, że, jeżeli namiestnik nie zostanie zaproszony, to także lubiany powszechnie przez Tyrolczyków komendant korpusu insbruckiego arcyksiążę Eugeniusz nie weźmie udziału w obchodzie, wysłano zaproszenie także do bar. Schwarzenau. Niekontenci z tego radykałowie niemieccy chcieli urządzić podczas uroczystości demonstracyę przeciw namiestnikowi, wobec czego arcyksiążę Eugeniusz odwołał swój zapowiedziany już przyjazd do Kufsteinu pod pretekstem śmierci jednego z członków zakonu rycerzy niemieckich, którego jest wielkim mistrzem.

Wogóle skonstatować należy, że Tyrol, który był dotąd jednym z najbardziej konserwatywnych i spokojnych krajów, radykalizuje się coraz bardziej. Wśród inteligencyi i studentów tamtejszych wichrzą bezustannie wszechniemieccy emisaryusze, zaś wśród ludności wiejskiej agituje niestrudzenie stronnictwo chrześcijańsko-socyalne, zdobywa coraz to nowe posterunki, niweczy długoletnią pracę poczciwego i prawdziwie patryotycznego konserwatywnego stronnictwa katolickiego i podkopuje wpływ duchowieństwa na włościan tyrolskich. Agitacya ta antysemitów jest tem niebezpieczniejsza, że i ona prowadzona jest pod chrześcijańską firmą, chociaż niestety niezawsze jest chrześcijańską, a przynajmniej nie katolicką, bo jadowite jej żądło skierowane jest przedewszystkiem przeciw hierarchii katolickiej. A jednak niestety, nie ma na to rady, pozycya stronnictwa konserwatywnego w Tyrolu jest coraz trudniejsza, w Radzie państwa już zasiada jeden antysemicki przedstawiciel gmin wiejskich Tyrolu p. Schraffl i prowadzi politykę tak zwanego „ostrego“ — i to bardzo ostrego tonu, zachodzi zaś obawa, że przy najbliższych wyborach zwiększy się liczba posłów tego pokroju. Przed kilku dniami np. urządzili antysemici wielki wiec ludowy w Schönau (a. d. Triesting) w Tyrolu i odnieśli sukces ogromny. Kilka tysięcy włościan tyrolskich przybyło na to zgromadzenie i z zapałem słuchało agitacyjnych mów przybyłych umyślnie z Wiednia na wiec członków antysemickiego jeneralnego sztabu, posłów Gessmanna, Bielohawka, Grubera, Jukla, Trolla i innych. Ten okręg tyrolski już uważać można za zdobyty przez antysemitów.

Prawosławna cerkiew w Bośnii i Hercogowinie otrzyma niebawem własną organizacyę na wzór tej, jaką mają: patryarchat serbski w Karłowicach, rumuńska cerkiew na Węgrzech, i grecko oryentalna na Bukowinie. Pomimo okupacyi Bośnii i Hercogowiny przez Austryę, podlega tamtejsza cerkiew dotychczas ekumenicznemu patryarchatowi w Konstantynopolu i nie ma własnego statutu. Po długoletnich rokowaniach został nareszcie ten statut ułożony i zatwierdzony przez patryarchę ekumenicznego, a obecnie oczekuje jeszcze tylko sankcyi cesarskiej. Organizacya cerkwi bośniackiej będzie autonomiczną. Najniższą jednostką autonomiczną będzie gmina cerkiewna i szkolna, po nad nią będzie eparchia, po nad eparchiami biskupstwa, których będzie cztery, a po nad biskupstwami jeden centralny organ. Na każdym z tych czterech stopni współdziałać będą z władzą duchowną przedstawiciele ludności, wyszli przeważnie z wyboru i ważniejsze sprawy cerkiewne załatwiane będą na ich plenarnych zgromadzeniach. Koszta administracyi cerkiewnej pokrywane będą dodatkami do podatków, których wysokość zatwierdzać będzie rząd krajowy. Rząd ten może też unieważnić każde zarządzenie władzy cerkiewnej, sprzeciwiające się ustawom krajowym. Nowy ten statut przyczyni się znacznie do skonsolidowania żywiołu serbskiego w Bośnii i Hercegowinie.

Widmo głodu.

Do wielu nieszczęść przełomowej bieżącej chwili dołącza się posępne widmo głodu, który grozi rozmaitym okolicom państwa rosyjskiego. Sprawozdania z różnych stron brzmią bardzo rozpaczliwie i uprawniają do poważnych obaw.

Kasański Telegraf donosi, że w okolicach Sormska, Wiatki i Nolina zbiory wypadły bardzo źle. Także z powiatu urżumskiego nadchodzą niepomyślne wiadomości. Wogóle w gubernii wiackiej jest tylko kilka miejscowości, w których ozime żyto obrodziło.

Do dziennika *Wołżskij Listok* nadeszły z ziemstw gub. kazańskiej wiadomości, że stan zbóż ozimych w dziewięciu powiatach jest bardzo zły. Oprócz tego groch, bób i soczewica zniszczone zostały przez szkodników.

W gubernii saratowskiej oczekują zupełnego nieurodzaju zboża i wszystkich traw pastewnych. Dane statystyczne ziemstw stwierdzają, że z 1260 miejscowości nadeszły wiadomości o nieurodzajach, a tylko w 40 oczekują pomyślnych żniw. Według pism miejscowych, w okręgach saratowskim i komyszyńskim oczekiwać należy zupełnego nieurodzaju. Już obecnie do rady miejskiej napływają prośby o zapomogi. Wogóle obawiają się głodu, jak to było w roku 1891.

Z gubernii samarskiej nadchodzą wieści jeszcze mniej pomyślne. Straszna susza, jaka trwała tu przez całe lato, wytworzyła wszelkie warunki dla złego urodzaju. *Samarskij Kuryer* donosi, że wszystkim miejscowościom położonym za Wołgą grozi widmo głodu. Zboża są takie rzadkie i takie małe, że można je będzie zużywać tylko jako paszę. Szczególniej przykre wrażenie wywierają zboża gub. stauropolskiej. Do *Carycyńskiego Wiestnika* nadchodzą coraz częściej głosy przygnębionych włościan z okolic Carycyna. Długotrwałe susze tak niekorzystnie odbiły się na stanie zbóż ozimych, że w końcu maja sprzątnięto je na paszę. Niema najmniejszej nadziei na urodzaj przeciętny.

Bardzo poważne obawy budzi stan zbóż ozimych i jarych w gubernii tambowskiej. Jak twierdzi *Tambowskij Gołos*, nad gubernią tambowską unosi się widmo głodu.

Zupełnie analogiczne wiadomości nadchodzą z okolic Ronneburga w gub. riazańskiej, z okolic Małoarchangielska i Jelca w gub. orłowskiej i z gubernii ekaterynosławskiej.

Ze wszystkich wzmiankowanych miejsco-

---

67)

G. ROVETTA.

PANIENKA

(La Signorina)

Powieść

Przekład z włoskiego.

(Ciąg dalszy).

— Wstąpię na chwilę do Olivieri'ego Jeśli tam coś jest w nieporządku, załatwi się wszystko odrazu i już tak prędko nie powrócę do Medyolanu!

Zapalił znowu papierosa i naraz twarz jego się rozjaśniła, jak gdyby odmłodniał.

— A Lulu?... Mała Lulu?... Trzeba coś kupić dla niej! Karlica!... Ha, ha, ha!

Franciszek roześmiał się wesoło.

— Chciałabyś, pani baronowo, mieć taką świeżą cerę i tak śliczne oczy! Ale, coby to takiego kupić, żeby jej sprawić niespodziankę. Przedewszystkiem kupię ciastek, cukierków i czekoladek, bo mała Lulu bardzo łakoma. Potem trzeba u jubilera wybrać jakąś broszkę lub coś podobnego. Pójdę, zobaczę!

Przyśpieszył kroku w kierunku galeryi, gdzie się znajdował sklep jubilera. Stanął przed wystawą i przyglądał się klejnotom.

— O, to ładniutkie!

Był to pierścionek, złożony z trzech obrączek, z których jedna była wysadzana drobnemi szmaragdami, druga rubinami, trzecia dyamentami.

— To bardzo ładny pierścionek i pewnie jej się będzie podobał. Ten, który dostała od Olivieri'ego, już za mały.

Kupił pierścionek i udał się do Covy po cukierki. Zobaczył na wystawie bombonierkę w formie prześlicznej lalki. Tę wybrał bez wahania, śmiejąc się serdecznie.

— Przywiozę despotycznej pannie Lulu z Medyolanu... lalkę!

Kazał zapakować lalkę śród ciastek i cukierków i napisał na pudle tekturowem: „Piękna pani z Medyolanu przybyła do Lodignoli, by złożyć wizytę hrabinie“. Przypilnował, żeby pudełko dobrze było zamknięte i obwiązane i kazał je natychmiast odesłać do swego mieszkania.

— Natychmiast! — zawołał jeszcze raz z progu. — Wyjeżdżam jeszcze dzisiaj.

Zadowolony i szczęśliwy skierował swe kroki do kancelaryi Olivieri'ego.

„Piękna pani z Medyolanu przybyła do Lodignoli, by złożyć wizytę hrabinie!“

Zdawało mu się, że słyszy srebrny, wesoły śmiech dziewczęcia.

— Maleńka Lulu, bardzo despotyczna!

. . . .

Tego samego dnia wszedł do kancelaryi Olivieri'ego niespodziewanie Nino Moro z Lodignoli.

— Jakto? Pan tutaj?

— Tak, panie. Wytłumaczę się krótko. Oznajmiam panu, że się rozstałem z ojcem, a zatem opuszczam służbę u pana Roero.

— Dobrze!

Olivieri spojrzał na młodzieńca wzrokiem badawczym, pożegnał go skinieniem głowy i przystąpił do biurka. Po chwili odwrócił się gniewnym ruchem.

— Porozumiałeś się pan z ojcem? Tak?... A więc, bardzo dobrze! Jak się panu podoba! Całkiem niepotrzebnie przyszedłeś pan tutaj, by w tak arogancki sposób oznajmić mi swoje postanowienie. Przed panem Roerem, jak i przedemną odpowiada za wszystko pański ojciec. Wszystko nam więc jedno, czy pan zostaniesz, czy wyjedziesz. Są to sprawy prywatne, które mnie wcale nie obchodzą. Chodzi mi tylko o to, by nie zabrakło ludzi w Lodignoli.

— O, nie! Przeciwnie!... W Lodignoli za wiele jest ludzi!

Nino Moro roześmiał się z ironią, a oczy jego zabłysły.

— Zawiele jest ludzi w Lodignoli. Dowodem tego, że mię pan Franciszek „ipso facto“ wysłał do Casalpo, żebym pilnował... wschodu księżyca!

W wystąpieniu młodego człowieka, w postanowieniu przezeń powziętem, w jego arogancyi, w buncie jego Olivieri widział tylko miłość ku Helenie. Przypisywał mu zamiar wywarcia wrażenia na młodej panience i zdobycia jej serca. Okazał się przeto szorstkim i prawie brutalnym.

— Jeśli pański przełożony posłał pana do Casalpo, to miał do tego swoje powody; pańskim zaś obowiązkiem jest słuchać bez żadnych uwag.

— Dopóki człowiek ma pana, to jest przełożonego, jak pan to nazywasz, trzeba słuchać rozkazów; ale ja nie chcę mieć żadnego pana nad sobą i dlatego to opuszczam ojca i pana Roero.

— Gdybyś pan miał serce — odparł adwokat, który czuł, że się zanadto uniósł i dlatego właśnie, zamiast się pohamować, coraz bardziej się irytował — gdybyś pan miał serce, pomyślałbyś o ojcu, o rodzinie... o swojem stanowisku...

Widząc, że adwokat spuścił nieco z tonu, Nino Moro nabrał większej śmiałości.

— Powiem panu to samo, co już w domu powiedziałem: muszę pracować, ale nie jestem stworzony do służby. Przyniosłem panu klucz od mego biurka, książki i rachunki, wszystko znajdzie pan w porządku. Gdybyś pan zażądał jakich wyjaśnień, proszę po mnie przysłać. Przyjdę do pańskiej kancelaryi. Mieszkam przy ulicy Lentasio, 37. Nie powrócę już do Lodignoli. Będę pracował w Medyolanie... Dosyć tu pracy rozmaitej dla wszystkich. Sługa pański!

Postąpił ku drzwiom, lecz adwokat zatrzymał go za ramię i spojrzał mu prosto w oczy. Młodzieniec trzymał się ostro; po chwili wszakże zmięszał się i spuścił oczy.

Adwokat puścił jego ramię, zamknął drzwi i usiadł napowrót przy biurku.

— Zanim odejdziesz pan, pozwól mi jedno słówko. Usiądź pan.

Nino Moro stał przy biurku i obracał w palcach nerwowo kapelusz!

— Siadaj pan.

Młodzieniec usiadł i założył nogę na nogę, chcąc się okazać pewnym siebie.

— Powiedz mi pan, jakie masz zamiary i gdzie będziesz pracował?

— Przepraszam.... powiedziałem panu, rachunki są w Lodignoli, w biurku, a klucz oddałem panu,

— Bardzo dobrze. To są rachunki, które mi ma zdać... mój urzędnik, albo, jeżeli pan wolisz, urzędnik pana Roera, przed opuszczeniem służby. Przejrzę je i jestem pewien, że będą w porządku. Lecz pozostaje jeszcze między nami do uregulowania rachunek inny, rachunek, jaki każdy szlachetny człowiek powinien zdać swemu dobroczyńcy.

— Dobroczyńcy? — zawołał Nino Moro, zerwawszy się na równe nogi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

wości dają się słyszeć zgodne głosy, że niezwykłe upały i brak opadów atmosferycznych zniszczyły doszczętnie zboża ozime. W niektórych powiatach żywią jeszcze nadzieję, że zboża jare poprawią się, jednakże widoki na poprawę urodzaju są zbyt wątpliwe. Wogóle jednak w pomienionych miejscowościach przygotowują się do walki z głodem. Przedstawiciele ziemstw zwracają uwagę sfer rządzących, że stosunki obecne są zbyt ciężkie i należy spieszyć z pomocą, jednakże, jak się zdaje, nic dotąd nie uczyniono, by chociaż cokolwiek zażegnać widmo głodu.

Ludzie zdolni do pracy powołani zostali jako rezerwiści, w domu pozostały tylko kobiety, dzieci i starcy, wobec czego odczuwa się brak zupełny rąk do pracy.

List pasterski X. arcybiskupa Popiela

w sprawie strejku szkolnego.

Z Warszawy donoszą, że tameczny obóz radykalny wszelkich dokładał usiłowań, aby arcypasterza naszego skłonić do nieogłaszania listu pasterskiego przeciw strejkowi szkolnemu. Uciekał się do groźby i prośby i był tak przekonany, że mu się powiedzie, iż w zagranicznych korespondencyach wszystkich pism radykalnych ogłoszono już radośną wiadomość, iż X. arcybiskup Popiel przeszedł na stronę radykałów. Na szczęście jednak zabiegi te nie odniosły żadnego skutku i we wczoraj ze wszystkich ambon w Królestwie polskiem odczytano następujący list pasterski:

Arcybiskup warszawski do rodziców polskich.

„Wieńcem starych są synowie synów, a chwałą synów ojcowie ich“. (Proph. 17, 6).

Skoro podobało się Bogu na barki moje złożyć pasterstwo dusz, mam też święty obowiązek strzedz dobra waszego i bronić go według sił i środków, jakie posiadam.

W poczuciu tej powinności odezwałem się niedawno do robotników i pracodawców, zachęcając ich do wzajemnego pojednania się, aby tą drogą ocalić zagrożony przemysł nasz i zapobiedz olbrzymim stratom, jakie na cały kraj spaść mogą, pogrążając jednocześnie w bezdenną niedolę tych, dla których praca jest jedynem źródłem doczesnego istnienia.

Jeżeli głos mój znalazł posłuch, jeżeli jutrzenka zgody przeziera z pośród chmur waśni bratniej, dzieło to łaski Bożej, która miękczy serca.

Podobało się jednak Opatrzności ciężko i niejednorako doświadczyć nasz naród i to właśnie w chwili, kiedy wszystkie serca biją przyśpieszonem tętnem nadziei lepszej doli.

Groza zawisła nietylko nad materyalnem dobrem naszem, ale, co stokroć gorsze, nad duchowem, nad losem dziatwy, około której skupiają się najszczytniejsze rachuby wasze, rodzice, i przyszłe widoki kraju całego.

Od kilku miesięcy dzieci te przestały uczęszczać do szkoły, oczekując zmian w dotychczasowym jej kierunku i ustroju. Nastał więc stan, przed którym przestrzega Mędrzec, jako przed wielkiem nieszczęściem, wołając: „Nie przestawaj synu słuchać nauki, a umiej słowa umiejętności“. (Proph. 20, 27).

Nie przeczę, że szkoła dotychczasowa nie odpowiada ani duchowym, ani narodowym potrzebom dziatwy naszej, że nie spełnia tego posłannictwa, jakie składaliście, rodzice, w jej ręce, przelewając na nią część waszych obowiązków wychowawczych, że nie umiała pozyskać ani serc, ani zaufania uczniów. Fatalny rozdźwięk, jaki między nią a nimi zapanował, jest tego najoczywistszym dowodem. Jestem przeświadczony, że wychowanie musi być wolne od wszelkich postronnych celów, że nie może być obce, a cóż dopiero wrogie religijnemu, narodowemu, społecznemu przekonaniu i ideałom naszym. Rozumiem, że przyjdzie chwila, kiedy [illegible] szkoły wyjedna [illegible] prawa [illegible].

Tymczasem zaś mnożą się niezliczone szkody. Młodzież, oderwana od regularnych zajęć, uchylająca się od rygoru szkolnego, trwoni czas drogi, brata się z lenistwem, nabiera złych nałogów, ociera się o zepsucie, słowem — w zaraniu życia styka się z tem wszystkiem, przed czem pragnęlibyście ustrzedz ją jak najbardziej.

Czyż nie ściskają się serca wasze, ojcowie i matki, gdy patrzycie, jak marnieją te młode latorośle, z których miały wystrzelić konary waszych nadziei, wasza podpora na starość, uweselenie dni zeszłych, chluba kraju, zadatek lepszej przyszłości i błogosławieństwa Bożego; jak je warzy żar zepsucia i próżniactwa; jak je czyni niezdolnemi do owocnej pracy, w chwili, gdy kraj szczególniej ich potrzebować będzie, aby mu zapewnić rozwój zdrowy, jędrny, trwały?

Prywatne nauczanie złemu nie zaradzi, korzystać zeń, bowiem, mogą tylko dzieci rodziców zamożnych, posiadających środki na kosztowne wychowanie. A co się stanie z całymi zastępami młodzieży ubogiej? Dlaczego syn kmiecia, rzemieślnika, biednej wdowy, ma [illegible]

Słyszę głosy potępiające opuszczenie szkół, a jednak pomimo to, pragnące je nadal utrzymać, w imię godności i solidarności narodowej.

Zaiste smutna byłaby godność naszego narodu, gdybyśmy dowodzić jej mieli tak okrutną ofiarą!

Kości praojców naszych, poległych na polach chwały, łzy [illegible] złote karty dziejów, księgi świętych Patronów kraju podnoszą głośny protest przeciw takiemu pojęciu godności narodowej.

To Herodowa sława nie [illegible] z bluźnierczego pomiatania wielką i piękną sprawą szkolną.

To też zaklinam was, Rodzice, nie dajcie się otumanić pustym frazesom; nie słuchajcie ani gołosłownych obietnic, ani zatrważających groźb. — Nie wahajcie się z rozpoczęciem roku szkolnego wieźć dzieci wasze do szkół, czy to prywatnych, czy publicznych, słowem — rozpocząć przerwane dzieło wychowania według środków, jakimi rozporządzacie, nie krępując nikogo w sprawie, która zbyt jest doniosłą, aby kierować nią miała jakaś ukryta komenda. Nie zapominajcie, że za losy waszych dzieci nie kto inny, tylko wy odpowiadać będziecie przed Bogiem i krajem. Pozwólcie przeto przemówić sumieniom i sercom waszym, a one wam powiedzą, że „gorszą od nieodpowiedniej szkoły jest żadna szkoła“. Oby nie przyszła kiedyś chwila, w której wykolejone dzieci zapytają was strasznemi słowy św. Jana: „kto zgrzeszył: ten, czyli rodzice jego?“ (Jan, 9, 2).

Wiem, że do spełnienia tego obowiązku potrzeba męstwa; niech go wam Bóg udzieli wraz z mojem błogosławieństwem pasterskiem: W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen.

† *Wincenty*
Arcybiskup warszawski.

Egzamin w szkole analfabetów.

W przejeździe za granicę przez Kraków byłem tam w charakterze gościa na niezwykłym w swoim rodzaju egzaminie analfabetów.

Z inicyatywy dyrektora Józefa Parczyńskiego, a staraniem Towarzystwa szkoły ludowej, otwarto przed laty dziesięciu podwoje tej szkoły dla starszych wiekiem analfabetów cywilnych, od lat czterech zaś pobierają tu naukę polskiego czytania i pisania również analfabeci-żołnierze z wojskowej załogi krakowskiej.

Stało się to dzięki przychylnemu przyjęciu projektu Towarzystwa przez ówczesnego dowódcę załogi, jen. bar. Albori'ego. Stwierdziwszy przerażającą liczbę 33 do 37% analfabetów wśród wojska, polecił gorąco całą akcyę pułkownikowi jen. sztabu, Wiktorowi Krajncowi, poecie słowackiemu.

Odtąd rokrocznie prowadzi się w gmachu szkolnym im. św. Floryana systematyczną naukę analfabetów-żołnierzy. Zaczęto rok pierwszy liczbą 80 uczni, zakończono rok czwarty liczbą 257.

Oddziaływano nietyle przymusem, co zachętą, pilnie kontrolując obustronnie frekwencyę zapisanych.

Po komendancie Alborim i jego delegacie Krajncu objęli i prowadzą dalej ten obowiązek tak samo sumiennie i gorliwie obecny komenderujący jenerał von Horsetzky i pułkownik jen. sztabu von Gläser, obaj Niemcy.

Wyniki były takie, że kiedy w 10 ciu latach nauczyło się pisania i czytania 300 analfabetów cywilnych, posiadło tę naukę w latach czterech 450 żołnierzy. — Resztę dopowie panu za chwilę egzamin szkolny — kończył swoje objaśnienie szanowny dyrektor, wprowadzając mnie piękną klatką schodową do wielkiej sali klasowej 1-go piętra.

Uderzył mnie tu obraz niezwykły.

Ławki szkolne aż ciemne od granatowych mundurów szeregowców różnych pułków i gatunków broni w liczbie przeszło 60, przeważnie Polaków, a także Czechów i Niemców.

Przed nimi na pulpitach polskie książki do czytania i wcale kaligraficznie zapisane po polsku kajety.

Wokoło katedry zajęli już miejsca delegowani z komendy wojskowej: podpułkownik jen. sztabu Zalewski, Polak, dwaj pułkownicy Niemcy, jeden Czech, koło nich prezes Tow. szkoły ludowej, prof. dr. Bandrowski z delegatem męskiego koła szkoły p. Małeckim, delegat krajowej Rady szkolnej, radzca Zalewski, i ktoś z rady miasta.

Wśród uroczystego nastroju rozpoczął kierownik nauki, dyr. Parczyński, egzamin, a raczej popis. Tak bowiem nazwać muszę wynik nauki doskonały, nietylko w płynnem, porządnem czytaniu i pisaniu polskiem, lecz i w dobrem zrozumieniu czytanych ustępów, o czem świadczyły odpowiedzi na zadawane pytania.

Egzamin zakończył się rozdaniem nagród od Tow. szkoły ludowej, t. j. pouczających książek polskich, treści historycznej, naukowej lub powieściowej, w czem nie brak było i powieści Sienkiewicza dla bardziej wyróżniających się.

Odbierali je z widoczną radością, poczem miarowym krokiem wojskowym opuszczali salę szeregowcy ex-analfabeci, a kiedy chciałem za nimi podążyć, zatrzymał mię dyrektor, bo oto właśnie wchodził do klasy wojskowym ordynkiem drugi ich oddział, również tak liczny, jak poprzedni.

Tu kilku uczniów, choć z wymową niemiecką, czytało po polsku znacznie płynniej nawet od wielu Polaków. Wszystkim udzielono nagród, a taki sam przebieg miał jeszcze i dalszy egzamin dwu pozostałych oddziałów.

Po ukończeniu go, zszedłem razem z delegatami cywilno-wojskowymi na dziedziniec szkolny, gdzie w wyciągniętych podwójnych szeregach uformował się już czworobok uczniów-szeregowców z bagnetami przy lewej ręce, z książkami nagrody w prawej.

— *Habt Acht! Rechts schaut!* (Baczność! W prawo wzrok!) — zagrzmiała komenda podoficera, gdy delegaci z dyrektorem szkoły wchodzili do wnętrza czworoboku.

Wśród ciszy, jak makiem siał, przemówił po polsku pierwszy do swoich uczniów kierownik nauki, dyr. Parczyński, z uznaniem dla ich pilności i gorliwości w nauce; po nim zabrał głos prezes Towarzystwa szkoły ludowej, zaczynając słowy: „Żołnierze! Po ukończeniu trzechletniej wojskowej, czeka was dalsza służba obywatelska na rodzinnej skibie, wśród swoich najbliższych. Tam powinniście nietylko dalej uprawiać ziarno zasianej nauki, lecz rozsiewać jej plon wokoło siebie, szerzyć ją wśród bliższych i dalszych, w czem zawsze liczcie na pomoc Towarzystwa szkoły ludowej, które nietylko otwiera oczy ciemnych, jakimi wyście byli, na światło nauki, ale wszędzie przy pomocy życzliwych i dobrych ludzi zakłada po wsiach czytelnie, funduje i wznosi szkoły ludowe. Więc pamiętajcie o tej swojej drugiej po rodzonej macierzy, która nauczyła was czytać tak, jak tamta nauczyła was pacierza!“

Trzeci z rzędu przemówił podpułkownik Zalewski, zwracając się ze słowy gorącej podzięki za cywilizacyjną akcyę Towarzystwa szkoły ludowej do jego prezesa, ze słowy uznania i wdzięczności dla gorliwej pracy kierownika nauki i dyrektora szkoły p. Parczyńskiego, wreszcie do żołnierzy z zaleceniem im wdzięcznej pamięci dla szkoły i Towarzystwa, które ich ciemnych oświeciło na resztę życia i pracy dla dobra swojego kraju rodzinnego i państwa.

I znowu zagrzmiała komenda, poczem z dziedzińca szkolnego wyszło w czterech zwartych oddziałach 257 szeregowców-uczniów, zaopatrzonych obok dawnej wojennej, w nową broń.... oświaty, najbardziej pono groźną dla największych nawet wrogów każdego państwa.

Obrazek ten, dla mnie niezapomniany, przesyłam wam z drogi mojej dalszej na zachód, ku bardziej oświeconym krajom i narodom.

Dr. J. B.

* * *

Możeby Towarzystwo szkoły ludowej porozumiało się z główno-komenderującym jenerałem Fiedlerem i urządziło we Lwowie taki sam kurs dla analfabetów żołnierzy. Jeżeli można to było zrobić w Krakowie z jenerałem Alborim, toć nie sądzimy, aby nie można było zrobić tego z równie sympatycznym i dbałym o dobro żołnierzy wodzem, jakim jest jenerał Fiedler.

Zjazd cara z cesarzem niemieckim.

Petersburg. Car opuścił w niedzielę o godzinie 11 przedpołudniem Peterhof. W otoczeniu cara znajdują się prócz ministra dworu bar. Fredericksa, marszałek dworu hr. Benkendorf, minister marynarki Birilew, komendant gwardyi Nilow i b. komendant „Nowika“, Essen.

Björkö. Cesarz Wilhelm zmienił kierunek podróży i przybył wczoraj przedpołudniem do wybrzeży wyspy Björkö, naprzeciw Kronsztadtu. (Wyspa Björkö leży w zatoce Fińskiej i oddalona jest od Kronsztadu o mniej więcej 50 kilometrów, a o 100 kilometrów od Petersburga; od stałego zaś lądu Finlandyi nie więcej jak o 5 kilometrów)

Petersburg. Cesarz Wilhelm i car Mikołaj zjechali się w niedzielę wieczorem na morzu koło Björkö. Wieczorem odbył się na „Gwieździe Polarnej“ galowy obiad. Wczoraj o godz. 2 popołudniu był car Mikołaj na śniadaniu na pokładzie „Hohenzollerna“. Po śniadaniu monarchowie pożegnali się, poczem „Gwiazda Polarna“ odprowadziła „Hohenzollerna“ kawał drogi.

W kierujących kołach rosyjskich uczyniło spotkanie się cesarzy bardzo pomyślne wrażenie.

Petersburg. Minister dworu baron Frederiks telegrafuje z Björkö: W niedzielę o godzinie 10 wieczór zarzucił jacht „Hohenzollern“ kotwicę w pobliżu „Gwiazdy Polarnej“. Cesarz Wilhelm udał się w towarzystwie księcia Alberta szlezwicko-holsztyńskiego łodzią na pokład „Gwiazdy Polarnej“, powitany tam przez cara Mikołaja i w. ks. Michała Aleksandrowicza. Po serdecznem powitaniu przeszli obaj monarchowie przed frontem kompanii honorowej, poczem odbyli przegląd załogi jachtu. Z kolei nastąpiło wzajemne przedstawienie świt, poczem obaj monarchowie udali się do salonu. O godzinie 11 w nocy udali się monarchowie z wielkim księciem i świtami na łodziach na pokład „Hohenzollerna“, skąd car Mikołaj o pół do 2 w nocy powrócił na pokład swego jachtu.

Petersburg. Oprócz wymienionych już poprzednio osób był w towarzystwie cara Mikołaja także adjutant przyboczny Czagin, komendant krążownika „Ałmaz“, dalej szef kancelaryi polnej adjutant przyboczny kapitan hr. Heyden i porucznik Podgorski. W składzie świty cara dopatrują się szczególniej uwagi i uprzejmości dla cesarza Wilhelma. Także *attaché* niemieckiej marynarki Hintze należał do świty cara.

Berlin. Z Björkö donoszą urzędowo: Ponieważ onegdaj wieczór był car Mikołaj wraz ze świtą na wieczerzy na pokładzie Hohenzollerna“, udał się wczoraj rano cesarz Wilhelm na pierwsze śniadanie na pokład „Gwiazdy Polarnej“. Na godz. 1 w południe był wczoraj cesarz Wilhelm wraz z świtą zaproszony na obiad do cara Mikołaja.

Petersburg. Car wrócił wczoraj wieczorem do Peterhofu.

Paryż. *Temps* tak pisze między innemi o zjeździe cesarzy koło Björkö:

Jeżeli się uwzględni prowadzoną dotąd przez Niemcy politykę zupełnej równowagi, to zjazd nie nabiera takiego znaczenia, jakie mu przypisują. Możliwe jest, że car Mikołaj w tak przełomowej chwili swego panowania zapragnął poznać osobiście zdanie władzcy, któremu nie można odmówić duchowej i moralnej wartości, a który bez kwestyi posiada energię czynu i głęboko zakorzeniony monarchiczny sposób myślenia. Możliwe jest niemniej, że cesarz Wilhelm chciał skorzystać ze zjazdu, aby dołożyć cegiełkę do niemiecko-rosyjskiego zbliżenia. Można także obie wymienione hipotezy razem połączyć. Nie prowadziłoby to jednak koniecznie do zmiany całej sytuacyi w Europie. Stosunek sprzymierzonej z Rosyą Francyi do Niemiec jest taki sam i takie samo ma znaczenie, jak stosunek Francyi do Anglii. Zjazd z cesarzem Wilhelmem nie zmniejsza wartości aliansu rosyjsko-francuskiego.

Wypadki w Rosyi.

Królewiec. Do *Hartung'sche-Ztg.* donoszą z Hasenpot w Kurlandyi: Komisarza barona Breverna podczas urzędowej podróży dnia 22 lipca w skrytobójczy sposób zastrzelono. W Libawie zastrzelili wczoraj rewolucyoniści żandarma, a dwóch żandarmów zranili.

Niżny Nowogród. Onegdaj zaszły tu poważne rozruchy, które trwały aż do zmroku. Ekscedenci wtargnęli do wielu domów i niszczyli meble. Liczba ofiar jest znaczna. (Były to zapewne ekscesy przeciw lupanarom. — *Przyp. Red.*)

Wojna rosyjsko-japońska.

Petersburg. Generał Liniewicz telegrafuje: W okolicy Hailungczen zbliżył się we czwartek rano nasz oddział w dwóch kolumnach do pozycyj nieprzyjacielskich, położonych o 4 wiorsty na północ od Yulangtec; podczas, gdy prawa kolumna ruszyła na front nieprzyjaciela, lewa nasza kolumna obeszła prawe skrzydło japońskie. Nagłe pojawienie się lewej kolumny koło skrzydła wojska japońskiego zmusiło nieprzyjaciela do opuszczenia swych pozycyj bez oporu. Obsadziliśmy szaniec nieprzyjacielski. Japończycy cofnęli się na obwarowane stanowisko na zachód od Yulangtec. Dolina zakryła ruchy Japończyków. Było nam bardzo trudno pokonać przeszkody, wskutek czego nasz oddział cofnął się w kierunku północnym.

Z wycieczki do Weggis.

Pani Hajota, znana nowelistka i powieściopisarka, odbywając w roku zeszłym podróż po Szwajcaryi, zatrzymała się także w Weggis i taką z pobytu tam zdaje relacyę:

Znajomi w Wiedniu zachwalili nam ogromnie tę miejscowość. „Ach, Weggis“! „Ach, jezioro Czterech Kantonów“! „Ach, cudownie! Ach, tanio! Jedźcie tam!“

Czemuby nie? Skoro się jest w tem szczęśliwem położeniu, że lekarz domowy nie zalecił żadnego specyalnego uzdrowiska na żadną specyalną dolegliwość, to również dobrze tu czy tam można szukać trochę wytchnienia dla nerwów skołatanych i trochę słońca i piękna dla wymęczonych murami oczu.

Jedziemy tedy do Weggis. Droga — utarty trakt, znany na palcach każdemu, co się trochę włóczył po Europie: malowniczy Salzburg, artystyczne Monachium, przeuroczy Zurich i kokieteryjnie nad swojem jeziorem usadowiona Lucerna.

Na debarkaderze w Weggis oczekuje przyjezdnych sznur hotelowych portyerów, jakby na urągowisko ukazujących biednemu bezdomcowi szumne, poetyczne, obiecujące nazwy dachów, pod którymi mógłby złożyć głowę, gdyby... dachy te mogły go przytulić.

Ale one nie mogą. W pełni bowiem sezonu Szwajcarya poprostu pęka od cudzoziemców. W pociągach tłok, parowce gną się pod ciężarem pasażerów.

Pająkom jednak much nigdy dosyć. Więc i hotelarze Weggisu wyciągają wciąż swoje macki w postaci owych wygalonowanych emisaryuszów, którzy, chwyciwszy naiwne ofiary, wiodą je do różnych „Belwederów“, „Alpenblicków“, „Paradisów“, aby na odpowiednich progach właściciel z rozkosznym uśmiechem oznajmił im, że... nie ma ani jednego wolnego pokoju ani u niego, ani zapewne nigdzie.

— Więc pocóż mnie tu przyprowadzono? — pyta zdziwiony wędrowiec, patrząc z niepokojem na niknące za szczytami słońce i robiąc szybki przegląd bujnej wegetacyi Weggis, aby w danym razie wybrać sobie najbardziej rozłożyste drzewo, gwoli nocnemu biwakowi.

O! tak źle jeszcze nie jest. „Paradisy“, „Alpenblicki“, „Belwedery“ mają swoje „dependencye“ i „noth'zimmery“ w prywatnych domach i ofiarowują w nich tymczasowe schronienie, aż za dwa... trzy dni... coś odpowiedniego się opróżni. Tymczasem będzie nawet taniej: pięć, sześć franków od osoby dziennie, to prawie nawpół darmo.

Istotnie, to nie jest drogo. Kto przytem zna południowe Włochy i pamięta, że za tę cenę miał naprzykład w Sorrento lub na Capri śliczny pokój z całodziennem utrzymaniem „vino compreso“ — ten pełen błogiej otuchy daje się wieść do owych „dependencyi“, nie zwracając już żadnej uwagi na rozłożyste drzewa.

Przedwczesna radość!

Po schodach, możliwych jedynie na „zwyżki“, zkąd się strząsa paszę dla bydła, wprowadzają go do nory, opatrzonej okienkiem, wielkości serwety, gdzie oprócz łóżka, stołka z miednicą i małego stolika (nie wszędzie), absolutnie więcej sprzętów nie ma i dla braku przestrzeni więcej ich być nie może. Oczywiście, każdy, kto nie jest potomkiem Dyogenesa w prostej linii, cofa się jeszcze prędzej, niż przyszedł.

A tymczasem ściemnia się zupełnie, wszędzie dzwonią i bębnią na kolacyę, dla rozmaitości zaczyna padać deszcz; zrozpaczony przybysz rzuca ostatnie melancholijne spojrzenie w kierunku rozłożystych drzew, konwulsyjnie ściska portmonetkę i pędzi do najdroższego hotelu, którego w chwalebnych zamiarach „oszczędnego pobytu w taniej Szwajcaryi“ obiecywał sobie unikać jak ognia.

Znany to fenomen ekonomiczny, że w najdroższym hotelu zawsze pokój się znajdzie. Jakoż się znajduje. Dziwnym trafem, jest to zwykle ten z najdroższych najdroższy, lub w każdym razie najgorszy, ale co robić?

Po tylu stryszkach, chlewkach, brudnych tapczanach i kulawych stołkach, jakiemi mu napasiono oczy, wielbiciel „taniej Szwajcaryi“ czuje się szczęśliwym, że za swoje 9 do 12 franków na dobę ma czysty, widny pokój z werandą, eleganckie meble i w pięknej sali obfite, zdrowe i smaczne jedzenie, złożone z sześciu potraw na obiad, a czterech na kolacyę.

A co za oszałamiające *menu!* co za nazwy geograficzno-historyczne! Co wieczór naprzykład dostaje się zupę. Raz jest to: *„Potage flammand, crème blé vert“*, drugi raz *„Soupe, purée d'orge á l'Eccossaise“*, to znowu *„Potage Visconti, froment souflé;“* a zawsze jest to ten sam poczciwy kleik, przypominający błogie dni dziecięctwa lub rekonwalescencyi.

Ale jak go się inaczej je, gdy go tak utytułują, i gdy na to patrzy poprzez szmaragdowo-błękitne, złotem dzierzgane jezioro, zaśnieżony Pilatus, i gdy nad tem czuwa szeroka lesista pierś Rigi!

Samo Weggis jest naprawdę śliczne. Śliczne swoim amfiteatrem gór, grających zmiennością kształtów jak brylant tęczą kolorów, śliczne przepyszną wegetacyą, której różnorodność poi oko coraz innym odcieniem zieleni, coraz innym rysunkiem listowia, coraz inną budową korony. Świerki, limby, topole, eukalyptusy, drzewa migdałowe i figowe, kasztany, srebrne brzozy i klony, a obok nich tu i owdzie, drobne palemki, jakieś dziwaczne, blade, prawie popielate drzewka, przypominające podrównikowe mangrowie i niemal czarne cyprysy, wszystko to tłoczy się i przewala po skłonach i ogrodach, otaczających wille.

Po jeziorze, zmarszczonem w drobną łuskę, zasnutem smugami świateł i podobnych do fantastycznych wysepek cieni, krążą wciąż parowce, rozwożące turystyczne *cargo* po Bürgenstock, Sitznau, Beckenrieth, Gersau, Brunen i Fluelen, owych wdzięcznych, przytulnych, roześmianych etapach Vierwaldstattenseen, których perłą jednak jest bez zaprzeczenia Weggis, tak ze względu na swoją malowniczość, jak swoje położenie, najdogodniejsze do wodnych i lądowych wycieczek.

Stąd to można sięgnąć po łatwe laury alpinisty, odbywszy pieszą ascencyę Rigi-Kulma, na którą Baedecker przeznacza trzy i pół godziny, ale która w rzeczywistości dla zwykłych nóg mieszczucha równa się prawie sześciu godzinom stromej i kamienistej drogi, obfitującej na pociechę w prześliczne widoki.

Mądrze ten czyni, kto, nie chowając oczu na ów „najprześliczniejszy“, napawa się niemi podczas marszu dowoli, bo gdy dosięgnie wreszcie szczytu, najczęściej nic nie zobaczy, oprócz wielkiego morza mgły.

Tu przychodzi mi na myśl, że gdyby tak przeprowadzić ankietę pomiędzy turystami drapiącymi się na różne turnie, piki i kulmy, to pokazałoby się, że na stu jeden zaledwie coś widział, a dziewięćdziesięciu dziewięciu wyniosło jedynie platoniczną satysfakcyę, że „tam“ byli.

Wracając jeszcze do Weggis, dodam, że w tym jego zalewie przez cudzoziemców, Polacy jakby żadnego udziału nie brali. W naszym pensyonacie „Willa Köhler“, największym i najpierwszym, nie było ani jednego Polaka; nie zdarzyło mi się też, odbywając częste wycieczki po jeziorze lub na lądzie, usłyszeć choćby raz polską mowę.

Byłżeby to znak ciężkich czasów? Może... A te szwajcarskie franki, jak na przekorę takie lekkie: lekkie — rzekłbyś, motyle, którym przypięto dwa lokalne skrzydła: chciwości i zdzierstwa.

Z izby sądowej.

Jasło, 22 lipca.

(O obrazę narodowości polskiej).

W dniu 29go maja weszli do tutejszego handlu p. Dymnickiego, w towarzystwie kilku młodzieńców nieznanych dotąd z nazwisk, pp. T. Czesnak, słuchacz praw z Hyrowej, Roman Gładyszowski słuchacz filozofii z Przemyśla i Roman Kmicikiewicz, maturzysta z Zawadki (wszyscy trzej Rusini) i zażądali wódki i przekąsek. Do szynki podano im musztardę wyrobu krajowego z etykietą, przedstawiającą orła polskiego. Orła tego zdarli nożami, wiszącego zaś na ścianie orła polskiego, oprawionego w ramy, z napisem: „Boże zbaw Polskę“ potargali i oblali musztardą, porobiwszy na ścianie musztardą napisy, obrażające w wysokim stopniu uczucia narodowe polskie.

Za ten czyn stanęli onegdaj przed tutejszym sądem, oskarżeni przez „Sokół“ jasielski o obrazę narodowości polskiej. Rozprawę jednak odroczono, ponieważ w toku jej okazała się potrzeba rozciągnięcia oskarżenia na czwartego akademika, niejakiego Kniskiego, słuchacza filozofii z Sanoka, a nadto, ponieważ przeciw trzem powyższym oskarżonym toczy się dochodzenie o zbrodnię gwałtu publicznego.

Mały feljeton.

W lipowej alei.

Miodowy, silny zapach lip kwitnących..
Słońcem południa ozłocone dymią,
Z konarów tworząc kopułę olbrzymią,
Lipy słodyczą swych woni gorących...
Przez zieleń liści blask słońca przecieka,
Kładąc na piasek alei blask złoty,
Liście pył świetlny mgłą drżącą obleka;
Wśród nich pszczół brzęczą pracowite roty...

Zaduma jakaś, o Szczęściu zaduma
Owłada duszę i oto sny wstają,
Sny zgasłych marzeń... bohaterska duma,
Wiara w Czyn wielki... i wraz gwarną zgrają
Przed duszą poczną wieść taniec weselny —
I znika nawał trosk życia codzienny
I znika duszy ów smutek śmiertelny
I myśl, że ból jest wieczny i niezmienny...

Pochyl głowinę złotą w me ramiona,
Otocz ramieniem i podaj mi usta,
Potem me skronie przygarnij do łona —
Niech dusza z łoża zerwie się Prokrusta,
Niechaj rozkoszy upoi się winem,
Niech oszołomią ją lip słodkie wonie,
Niechaj zapragnie znów żyć górnym Czynem —
Dusza, co w smutku nostalgicznym tonie...

Trzcinica. *Adam Stodor.*

KRONIKA.

Lwów 25 lipca.

Wiceprezydent wyższego sądu krajowego Dr. Jan Dylewski wyjechał na urlop.

Z pobytu X. arcybiskupa Bilczewskiego w Worochcie. Po skończonej wizytacyi kanonicznej w Delatynie, udał się X. arcybiskup Bilczewski w sobotę 15 b. m. do Worochty, gdzie zatrzymał się cały tydzień, aby odpocząć po trudach wizytacyjnych. Jednak i tam nie spoczął od prac duszpasterskich. Zaraz w niedzielę celebrował w tymczasowej kaplicy Mszę św., bierzmował, wygłosił kazanie do licznie zgromadzonych letników i miejscowych parafian łacińskich, następnie katechizował dziatwę aż prawie do południa. To samo powtórzyło się popołudniu w Mikuliczynie, dokąd udał się, aby oglądać rok przedtem ukończony kościółek i poznać swoje owieczki. Dnia następnego zwiedził w Worochcie oba domy wakacyjnej kolonii, utrzymywanej staraniem stanisławowskiej dyrekcyi kolei, przyczem czas dłuższy zajął się katechizowaniem chłopców i dziewcząt tej kolonii. We wtorek udał się X. arcybiskup do tartaku Eislerów, gdzie dostojnemu gościowi miejscowy dyrektor przygotował uroczyste przyjęcie. U bramy tryumfalnej zgromadzili się liczni robotnicy z tartaku wraz z rodzinami, wystąpiła również w paradzie cała straż ogniowa tartaku.

Ze względu, że prócz kilkuset stałych robotników fabrycznych, tartak zatrudnia nadto przeszło stu robotników przy budowie kolei tartakowej, która ma być doprowadzona do podnóża Czarnohory, X. arcybiskup zwiedził tą kolejką całą zabudowaną dotąd przestrzeń, aż w głębokie lasy, po drodze rozmawiał z robotnikami i wszystkich obdarzył pamiątkowymi obrazkami lub medalikami

I tak, aż do końca tygodnia, przeznaczonego rzekomo na wypoczynek, pracował nasz arcypasterz, słuchając spowiedzi, katechizując dziatwę, udzielając bierzmowania itd.

Z Worochty udał się X. arcybiskup wprost do Doliny dla poznania stosunków religijnych wśród tamtejszych robotników fabrycznych w Wygodzie, Weldzirzu i Maksymówce.

Zatwierdzenie wyboru. Cesarz zatwierdził wybór dr. Włodzimierza Pilińskiego, adwokata krajowego w Rzeszowie, na zastępcę prezesa Rady powiatowej w Rzeszowie.

Ślub. W kościele św. Mikołaja we Lwowie odbędzie się dnia 26 b. m. ślub panny Bronisławy Maślankiewiczówny z p. Henrykiem Lackiem, inżynierem namiestnictwa w Żydaczowie.

Z prasy. W Krakowie zaczął wychodzić *Miesięcznik techniczny*, poświęcony technice i przemysłowi. Wydawany jest kosztem krakowskiego Koła Związku absolwentów wyższych szkół przemysłowych. Redaktorem jego jest p. Roman Ciesielski, architekt. Wychodzi dnia 15 każdego miesiąca i kosztuje rocznie 12 K.

Towarzystwo upiększania Krakowa uchwaliło na ostatniem swem posiedzeniu, że zanim przy-

stąpi do jakiegokolwiekbądź upiększenia podwawelskiego grodu, to przedewszystkiem dołoży wszelkich usiłowań przeciw jego szpeceniu, które robi z każdym rokiem ogromne postępy.

Jakże dobrą byłoby rzeczą, żeby we Lwowie zawiązało się takie stowarzyszenie, przeszło się po ulicach miasta i postarało się o pouczenie rozmaitych właścicieli domów, aby tak strasznie nie szpecili jego fasad niesłychanemi malaturami. W magistracie naszym nie ma żadnego urzędu, któryby pilnował pod tym względem właścicieli domów i sklepów i przestrzegał wymagań estetyki. Może więc mogłoby cośkolwiek w tej mierze poradzić takie Towarzystwo z obywateli miasta złożone.

Zwłaszcza na to warto zwrócić uwagę, że teraz weszło w modę we Lwowie malować jaskrawemi barwami w rozmaite pasy parter kamienicy, w której się znajdują trafiki, lub sklepiki jakichś wyrobów papierowych, przyborów szkolnych etc. Więc naprzykład gdzie jest trafika, tam cały dół kamienicy wymalowany jest w pasy czarne i żółte; gdzie jest sklepik z przyborami szkolnymi Tow. szkoły ludowej, tam dół kamienicy wymalowany jest w pasy amarantowe i białe; a niektóre drogueryе malują sobie dół kamienicy w pasy niebieskie i białe. Wytwarza to taką kakofonię barw, taką niesmaczną pstrokaciznę, że patrzeć na to nie można.

Defraudacya w urzędzie podatkowym. Z Doliny donoszą, że w tamecznym urzędzie podatkowym wykryto znaczną defraudacyę. Rzecz miała się tak: Jeden z tamtejszych przedsiębiorców wykazał się w dyrekcyi skarbowej we Lwowie kwitami na zapłacone kwoty, których to jednak pozycyi w żaden sposób nie można było odnaleść w odnośnych księgach doliniańskiego urzędu podatkowego. Wydelegowana natychmiast z ramienia dyrekcyi lwowskiej komisya śledcza, przeprowadziła niezwłocznie szkontrum, którego wynikiem było odkrycie defraudacyi przenoszącej kwotę 20.000 koron. Natychmiast zasuspendowano dwóch funkcyonaryuszy: poborcę i adjunkta, oraz wdrożono śledztwo sądowe, które dotąd jest jeszcze w toku.

II. Szkoła realna we Lwowie ogłosiła właśnie drukiem roczne swoje sprawozdanie, dotyczące ubiegłego roku szkolnego 1904/5. W roku tym liczba oddziałów paralelnych klas wynosiła w tej szkole 17, a to z powodu licznej frekwencyi uczniów, których szkoła liczyła z początkiem roku 561, z końcem 492. Dodatnią klasyfikacyę otrzymało 369 uczniów (10 z odznaczeniem), 61 przepadło, a 63 przeznaczono do egzaminów poprawczych. Według narodowości, uczęszczało do szkoły 442 Polaków, 42 Rusinów, pięciu Niemców, dwaj Czesi i jeden Włoch. Rzymsko-katolickiego wyznania było 332, greko-katolickiego 51, 97 izraelitów, i 12 ewangelików. W pierwszem półroczu uwolniono od szkolnej opłaty 344 uczniów, w drugiem 347.

O zdrowiu naszej młodzieży nie najlepiej świadczą przytoczone w sprawozdaniu przyczyny uwolnienia uczniów od nauki gimnastyki. I tak 29 uwolniono z powodu nerwicy, 16 z powodu gruźlicy, 14 z powodu choroby serca, 18 nieżytu dróg oddechowych, z powodu innych chorób 38.

W celu pielęgnowania muzykalnych upodobań uczniów zorganizowano przy szkole „Kółko mandolinistów" z uczniów najwyższych klas. „Kółko" to rozwija się bardzo dobrze i cieszy się sympatyą uczniów.

Walka z gruźlicą. W wozach tramwaju elektrycznego rozwieszono dziś z polecenia i z podpisem c. k. ministeryum kolejowego duże plakaty, z wielkim czerwonym krzyżem pośrodku, zabraniające plucia w wozach pod karą 2 do 200 koron grzywny, względnie 6 godzin do 14 dni aresztu. Rozporządzenie to powitać należy z radością, gdyż niewątpliwie w wysokim stopniu przyczyni się do zapobiegania szerzeniu się gruźlicy, jeżeli naturalnie konduktorowie będą pilnie baczyli, aby publiczność do tego przepisu się stosowała, a tych, którzy go przekroczą, pociągać będą do odpowiedzialności. Należałoby jeszcze podobne zarządzenia zaprowadzić w gmachu pocztowym, w kościołach, w urzędach itp. Wprawdzie tu i ówdzie znajdują się plakaty z napisem „uprasza się nie pluć na podłogę", ale te nie przynoszą żadnej realnej korzyści. U nas bowiem nie wystarcza „upraszać", tylko koniecznie trzeba „zabraniać". Oto niedawno byliśmy w tramwaju świadkami takiego zajścia. Pewien młody, źle wychowany człowiek, raz po raz pluł na podłogę. A kiedy konduktor zwrócił jego uwagę na plakat, na którym właśnie było napisane „uprasza się nie pluć na podłogę", odpowiedział szorstko, że tam jest tylko napisane *„uprasza się"*, więc *zabraniać* nikt mu nie ma prawa. I pluł dalej.

Z kolei. Czasy odjazdu i przyjazdu osobnego pociągu spacerowego po zniżonych cenach jazdy, kursującego w bieżącym sezonie letnim w niedziele i święta rzymsko-katolickie ze Lwowa do Pustomyt, względnie do Szczerca i napowrót, wyznacza się począwszy od niedzieli dnia 30 lipca b. r. jak następuje:

Odjazd pociągu spacerowego ze Lwowa do Pustomyt i Szczerca o 9·15 przed południem (zamiast jak dotychczas o 12·50 popołudniu).

Przyjazd do Pustomyk o 9·51 przedpołudniem, do Szczerca o 10·07 przedpołudniem.

Powrót spacerowym pociągiem ze Szczerca o 8·02 wieczór, z Pustomyt o 8·19 wieczór, przyjazd do Lwowa o 9·00 wieczór.

Czasy odjazdu i przyjazdu oznaczone są według zegara środkowo-europejskiego.

Począwszy od niedzieli dnia 30 lipca b. m. wydawane będą do wszystkich niedzielnych i świątecznych pociągów spacerowych ze Lwowa do Pustomyt i Szczerca, jakoteż ze Lwowa do Stawczan i Lubienia wielkiego i napowrót bilety powrotne II i III klasy po zniżonych cenach jazdy.

Bilety te powrotne nabyć można przy kasach osobowych we Lwowie, jakoteż i w miejskiem biurze c. k. kolei państwowych we Lwowie (pasaż Hausmana) przez cały dzień po następujących zniżonych cenach:

Ze Lwowie do Stawczan i napowrót III kl. K. 0·90 h., II kl. K. 1·40 h., do Lubienia wielkiego tam i napowrót III kl. K. 1·30 h., II kl. 2. 10 h. Ze Lwowa do Pustomyt i napowrót III kl. K. 0·90 h., II kl. K. 1·40 h, do Szczerca i napowrót III kl. K. 1·30, II kl. K. 2·10.

Bilety powrotne nie są przenośne, a ważne tylko do wymienionych pociągów spacerowych w dniu nabycia.

Dzieci w wieku 4 do 10 lat płacą przy tych pociągach albo całe bilety w dotyczącej klasie wozu, lub połowę normalnej ceny biletu do jazdy, zarówno tam, jakoteż i napowrót.

Pożar. W Czerniawie, w powiecie mościskim, spaliło się w tych dniach 64 chat wraz z budynkami gospodarskimi. Szkoda wynosi sto kilkadziesiąt tysięcy koron.

Wybuch benzyny. W jednym z zakładów chemicznych do czyszczenia w Czerniowcach nastąpił wczoraj silny wybuch benzyny. Zajęta właśnie czyszczeniem sukni niejaka Józefina Gruszczakowa stanęła w jednej chwili w ogniu jak pochodnia i spaliła się prawie na węgiel. Równie bardzo ciężko poparzeni są właściciel tego zakładu i służąca, którzy pobiegli Gruszczakowej na ratunek. W stanie beznadziejnym odstawiono wszystkich do szpitalu.

Zjazd koleżeński. W Tarnopolu odbył się zeszłej środy zjazd koleżeński maturzystów tamtejszego gimnazyum z r. 1865. Z 22 abituryentów zmarło 12. Z 10 zaś żyjących przybyli na zjazd: 1) Barwiński Aleksander, prof. seminaryum naucz. i członek Rady szkolnej krajowej we Lwowie. 2) Berezowski Tomasz, proboszcz gr.-kat. w Dubrawce, dziekan żurawieński. 3) Herasimowicz Jan, proboszcz gr.-kat. w Turzu. 4) Listowski Karol, radzca rządowy i zastępca dyrektora kolei państwowych we Lwowie i 5) Studziński Teofil Adam, notaryusz w Złoczowie. Usprawiedliwili swoją nieobecność i nadesłali życzenia koleżeńskie: 1) Dr. Kampel Jakób, właściciel wodoleczniczego zakładu w Czerniowcach, 2) Dr. Puluj Jan, prof. i b. rektor niemieckiej techniki w Pradze, 3) Dr. Schulbaum Juliusz, starszy lekarz sztabowy w Josefstadt, 4) Zerter Arnold, wicesekretarz rządowy przy obw. sądzie w Sarajewie i 5) Zaremba Mieczysław, notaryusz w Kutach. Z czterech eksternistów dwóch zmarło, a dwóch usprawiedliwiło swoją nieobecność: Mryglodowicz Jan, gr.-kat. proboszcz w Dytkowcach i Tarnawski Zacharyasz, gr. kat. proboszcz w Mszanie. O godzinie 7 rano odprawił za duszę zmarłych profesorów i kolegów mszę św. w cerkwi X. Berezowski (któremu służył do mszy poseł Barwiński) i X. Herasimowicz, a o godzinie 8-mej X. kanonik Gromnicki celebrował żałobną mszę. O godzinie 9-tej odbyło się również w kościele parafialnym żałobne nabożeństwo, poczem uczestnicy zjazdu udali się do gimnazyum, do kancelaryi dyrektora, w której wówczas mieściła się ósma klasa. W zastępstwie dyrektora prof. Krózel odczytał z głównego katalogu imiona abituryentów, wpisał stan i miejsce pobytu obecnych i nieobecnych i zaznaczył także zmarłych. Następnie zwiedzili uczestnicy zjazdu gmach gimnazyalny, w którym pobierali naukę i miasto, a o godzinie 1-szej zebrali się na wspólny obiad. Wśród miłych wspomnień i pogawędki o obecnych stosunkach kolegów minął szybko czas, a uczestnicy zjazdu zobowiązali się po dziesięciu latach jeszcze raz zebrać się, jeżeli Bóg użyczy im zdrowia i życia. Dyrektorem tarnopolskiego gimnazyum był wówczas zmarły już X. Bazyli Ilnicki, z profesorów żyje jeszcze na emeryturze Jan Łęczyński w Przemyślu i były katecheta X. Łukasz Cybyk w Warszawie.

Styl „Kazimierzowski." W świecie architektów i budowniczych wywołała wielkie wrażenie wiadomość, iż p. Rudakowski, architekt warszawski, wybudował w Warszawie przy ul. Ciepłej gmach czteropiętrowy w prawdziwym stylu polskim, zwanym stylem „Kazimierzowskim". Dom ten odznacza się szlachetnemi proporcyami i nadzwyczaj skromną ornamentacyą. Nad 4-tem piętrem łuki zakończono dzwonami na pilastrach i szyszkami. Na środkowym łuku hełm rycerski z 5-iu piórami strusiemi; pod nim w cyrklu okienka z szybkami kolorowemi. Gzems między 3 i 4-tem piętrem ozdobiono popiersiami. Pilastry skarpowane zakończone są na 3-iem piętrze łukami pół okrągłemi, środkową zaś partyę podtrzymuje „żmij," wąż skrzydlaty w koronie. Niższe partye podtrzymują nietoperze. Resztę ornamentów stanowią liście koniczyny, wtłoczone w tynk i czarno pomalowane, oraz pająki w kołach. Całość posiada znakomite proporcye, zwłaszcza szczęśliwie wypadł stosunek otworów okiennych do mas muru. Po bokach są dwa rozelity wyższe od całego gmachu.

Bardzo bylibyśmy radzi, żeby *Architekt*, miesięcznik poświęcony architekturze, podał fotografię owego gmachu, bo z tego opisu, który przynoszą pisma warszawskie, nie wiele można się o piękności jego dowiedzieć.

Dwa samobójstwa. Dziś rano wystrzałem z rewolweru chciał pozbawić się życia Bronisław Faliszewski, konc. praktykant Dyrekcyi skarbu. Kula jednak nie przebiła czaszki. Pana Faliszewskiego odwieziono do szpitala.

Również dziś rano w mieszkaniu swojem przy ulicy Piekarskiej l. 25, wystrzeliła do siebie czy w zamiarze samobójczym, czy też przypadkowo pani A. L., żona politycznego urzędnika, kobieta piękna, córka obywatelskiego zamożnego domu. Kula przeszła przez płuca. Lekarze na razie nie mają nadziei utrzymania pani L. przy życiu. Ponieważ sprawa nie przedstawia się jasno, policya oddała akta do prokuratoryi państwa.

Fabryka śmierci. Przed trzema laty mniej więcej wynajęła niejaka Fanni Ardent, kobieta w starszym już wieku, willę obszerną w jednem z najwytworniejszych przedmieść Paryża: Auteuil. Dystyngowani mieszkańcy tej dzielnicy spostrzegli niebawem, że dziwne rzeczy dzieją się w tej willi. Codziennie zajeżdżały tam dorożki, z których wynoszono ludzi umierających i codziennie stały tam karawany, wywożące z willi nieboszczyków na cmentarz. Dom pani Ardent otrzymał tedy nazwę „Fabryki śmierci". Nic złego tam się zresztą nie działo. Ludzie po prostu umierali, a czterech księży, ordynujących stale w tej willi, udzielało konającym ostatnich pociech religii.

Niebawem stwierdzono, że pani Ardent jest tylko pomocnicą o wiele młodszej panny Noalhier, kobiety bardzo bogatej, która w roku 1900 założyła w Limoges szpital dla umierających, — dom, w którym przyjmowano wyłącznie osoby, znajdujące się w ostatnim okresie suchot. Panna Noalhier zbierała w szpitalach i w najuboższych dzielnicach miasta Limoges ludzi umierających i umieszczała ich w swoim szpitalu, aby zapewnić im śmierć chrześcijańską. Nie leczenie cierpień fizycznych było celem tej instytucyi pobożnej, bo w przypadkach, któremi opiekowała się panna Noalhier, wyzdrowienie było niemożliwe, lecz zbawienie duszy konających. Był to zatem szpital nie dlatego, co śmiertelne, lecz dlatego, co nieśmiertelne w człowieku.

Ludność miasta Limoges zbuntowała się jednak przeciw szpitalowi, który zagrażał hygienie mieszkańców okolicznych. Powstała mała rewolucya. Dom panny Noalhier zburzono niemal doszczętnie. Ale pobożna do fanatyzmu kobieta nie ustąpiła i nowy zbudowała szpital. Wtedy szpitale miejskie zabroniły wydawać pannie Noalhier pacyentów dogorywających. Ale i to nie pomogło, bo biedne rodziny, na których progu stanął kościotrup z kosą, ofiarowywały chętnie swoich konających „fabryce śmierci", oszczędzającej im kłopotów i kosztów pogrzebu. W końcu wdał się w tę sprawę magistrat i wydalił pannę Noalhier z miasta.

Rozpoczął się proces. Po kilku miesiącach panna Noalhier sprawę wygrała i powróciła do Limoges, ale ludność miasta zajęła wobec niej stanowisko tak groźne, że p. Noalhier zdecydowała się kapitulować i przeniosła się do Paryża, gdzie za pośrednictwem panny Ardent kupiła willę w Auteuil i tu na nowym gruncie założyła drugą „fabrykę śmierci". Przez trzy lata zwracano na nią mało uwagi. Mieszkańcy Auteuil trochę sarkali, trochę żartowali, ale do buntu otwartego nie przyszło. Dopiero teraz, prawdopodobnie pod wpływem walki rzeczypospolitej z Kościołem, rozpoczęła się w pismach energiczna polemika przeciw „fabryce śmierci", nie uzdrawiającej nikogo, a będącej poważnem niebezpieczeństwem dla zdrowia dzielnicy wykwintnej. Zabrali głos lekarze i ostrzegali publiczność przed gniazdem gruźlicy. Malowano w barwach jaskrawych stosunki, panujące w szpitalu, który posiada tylko 20 łóżek, a z którego w ciągu miesiąca wywożą 16—19 trupów tuberkulicznych. Opowiadano także wprost nieprawdopodobne historye o „nawracaniu" konających.

Walka ta do dziś dnia toczy się bez przerwy w prasie liberalnej, która ubolewa, że prawo jest bezsilne wobec panny Noalhier. Jeden z wybitnych lekarzy wystosował nawet list otwarty do właścicielki szpitala, w którym usiłuje ją przekonać, że mogłaby przecież o wiele lepiej przysłużyć się ludzkości, gdyby swoje miliony przeznaczyła na budowę uzdrowisk dla suchotników. „Dziś masz wszystkich przeciw sobie — pisał lekarz — lecz gdybyś tylko zechciała, błogosławilibyśmy wszyscy twoje imię".

Ale panna Noalhier mu odpowiada, że pozostawia innym swobodę zakładania zwykłych sanatoryów i szpitali, ona zaś chce dać możność katolikom umrzeć po katolicku. Owóż to właśnie najbardziej się nie podoba prasie masońskiej i do wściekłości ją doprowadza. Niektóre dzienniki wzywają policyę do pomocy. *Matin* n. p. żąda stanowczo zamknięcia szpitala i między innemi tak pisze:

„Gdy zakłada się fabryka materyałów wybuchowych, władze badają dokładnie warunki terenu, konferują z ludnością okoliczną i przestrzegają pilnie, aby fabryka stanęła w miejscu jak najwięcej oddalonem od mieszkań ludzkich. Niesłusznem jest tedy, aby pierwsza lepsza dama miała prawo urządzać w swojej willi szpital dla suchotników konających i roznosić zarazę".

Owóż to twierdzenie o roznoszeniu zarazy jest argumentem nieuczciwym, bo dla społeczeństwa mniej będzie niebezpieczeństwa, jeżeli jaki biedak umrze w zakładzie przy Noalhier, aniżeli wtedy gdy umrze w domu i tam wśród członków swej rodziny będzie jako trup leżał przez 48 godzin.

Temperatura dnia 22 lipca o godz. 7 rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +16, we Lwowie +14, w Tarnopolu +14, w Czerniowcach +16, w Wiedniu +17, w Salcburgu +17, w Gracu +17, w Pradze +17, w Tryeście +21, w Abbazyi +18, w Raguzie +23, w Budapeszcie +20, w Berlinie +17, w Hamburgu +17, w Monachium +17, w Zurychu +16, w Genewie +19, w Lugano +23, w Anglii +18, w Paryżu +19, w Biarritz +21, w Nizzy +24, w północnych Włoszech +21, we Florencyi +23, w Rzymie +20, w Neapolu +23, w Palermo +24, w Madrycie +22, w Sztokholmie +19, w Petersburgu +20, w Wilnie +13, w Warszawie +14, w Moskwie +20, w Kijowie +15, w Odesie +20, w Serajewie +15, w Belgradzie +21, w Bukareszcie +22, w Sofii +15, w Konstantynopolu +23, w Atenach +24. (Temperatura według Celsiusza).

Deszcze w całej środkowej Europie. W Hiszpanii szalone upały: w Sevilli było wczoraj 58° C. na słońcu, a 48° w cieniu; w Madrycie zaś 39° C. w cieniu. Źródła powysychały, a plony są zupełnie spalone.

Zmarli. W Gastein Franciszek Cukier, urzędnik lwowskiej filii austryackiego Zakładu kredytowego, w 46 r. życia.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano + 17 R. w poł. + 20 R. w cieniu, + 25 na słońcu. Bar. 763. Idzie w górę. Do południa deszcz, potem prześliczna pogoda.

Niepoprawny.

Żona. Rozumiem: szukasz znowu pretekstu, żeby pójść do restauracyi.

Mąż. Otóż przekonam ciebie, że tak nie jest, i pójdę dziś — bez pretekstu!

Zwracamy uwagę na znakomity wynalazek dra Bischoffa. Patrz głoszenie pt. P. T. Gospodynie!

Widowiska i koncerty.

Colosseum w Pasażu Hermanów. Pierwszorzędny i największy teatr rozmaitości. Od 16 do 31 lipca zupełnie nowy, światowy program familijny. Przedstawienia odbywają się we wspaniale urządzonym ogrodzie, w czasie deszczu w odnowionej sali. Początek o godz. 8 wieczorem. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 pop. i 8 wieczorem.

Literatura i sztuka.

* **Architekt.** Lipcowy zeszyt rozpoczął druk odczytu p. Karola Moritza, budowniczego w Kolonii, na temat: „Rozwój nowoczesnego teatru", bardzo zajmujący nietylko dla fachowców, lecz i dla szerszego ogółu, interesującego się choć trochę architekturą; nadto dał fachowy artykuł „O wyrobie betonu z cementu Portlandzkiego". W dziale illustracyjnym mamy: kościół w Charlupi małej (w gub. kieleckiej), projekt architekta Szyllera; trzy kartony, przedstawiające kościół św. Stanisława, wzniesiony na Woli pod Warszawą, wedle planu architekta J. Dziekońskiego; tudzież projekt kaplicy dworskiej w Zwierniku, wykonany przez p. Talowskiego na zamówienie kolatora p. Józefa Zwiernickiego. Kaplica ta, w stylu gotyckim, wykonana będzie z surowej cegły z użyciem ciosu.

Główną charakterystyką kościółka św. Stanisława na Woli jest to, że składa on się z 3-ch naw i transeptu prawie równych wysokości. Zwracają też w nim na siebie uwagę sklepienia żebrowe, szkielet ich wysklepiony jest podług części jednego i tegoż samego łuku koła. Łuki te sklepieniowe opuszczają się po filarach aż do ich podstawy przystrojonej, podług wzoru filarów krużganku Biblioteki Jagiellońskiej. Jestto może jedyny przykład takiego ukształtowania żeber sklepiennych wraz z filarami, nie z kamienia, lecz z wątku ceglanego.

Z targów zbożowych.

Wiedeń 23 lipca.

(Z). Ogłoszony przed paru dniami urzędowy wykaz węgierskiego ministeryum rolnictwa, wydany na podstawie stanu pól i robót żniwiarskich w dniu 15 lipca taksuje ogólny zbiór pszenicy na Węgrzech na 41,400.000 centnarów metrycznych, żyta na 13.390.000, jęczmienia na 12,750.000, a owsa na 11.500.000 centnarów metrycznych. Są to wprawdzie cyfry znacznie i to bardzo znacznie wyższe od cyfr zeszłorocznego zbioru, wszelako nie odpowiadają w zupełności oczekiwaniom, jakie powszechnie w sferach handlowych żywiono. Spodziewano się bowiem zbioru znacznie większego i dlatego też to urzędowe sprawozdanie przyjęto na razie na targu zbożowym z wielkiem niedowierzaniem, zwłaszcza, że wedle prywatnych informacyj wielkich domów handlowych faktyczny wynik żniw jest podobno znacznie lepszy.

Bądź co bądź, to ogłoszenie urzędowego raportu węgierskiego wywołało wzmocnienie się tendencyi i lekkie podniesienie się cen. Przyczyniła się do tego po części także ta okoliczność, że i austryackie urzędowe sprawozdanie szacuje spodziewany rezultat żniw w Przedlitawii niecо gorzej, niż się spodziewano.

To podniesienie się cen miało jednak na razie tylko nominalny efekt, gdyż kupujący usunęli się z targu, zatem dla braku popytu nie mogły te wyższe notowania nabrać praktycznego znaczenia.

Dzisiejszy stan zapasów głównych gatunków ziarna, nagromadzonych w Wiedniu, jest następujący: pszenicy 123 wagonów, żyta 120, jęczmienia 77, owsa 434, kukurudzy 154, mąki i otrębów 106, soczewicy 8 wagonów.

Notowano loco Wiedeń za 50 kl.: Za pszenicę cisańską (78 do 82 kilo) 8·85—9·30, nową (78 do 81 kilo) 8·75—9·00, za banatkę nową (78 do 80 kilo) 8·60—8.80, za słowacką (77 do 80 kilo) 8·40—8·75, nową (78 do 82 kilo) 8·35 do 8·65.

Za żyto słowackie nowe 7·10—7·30, za rozmaite węgierskie 7·00—7·25, austryackie nowe 7·10—7·25.

Za jęczmień słowacki (loco stacya) 6·00 do 8·00.

Za kukurudzę węgierską płacono 8·05—8·30, amerykańską „Yellow" 0·00—0·00, Cinquantin 8·50 do 9·00.

Za owies węgierski w poślednich gatunkach płacono 6·85—6·95, średnie gatunki 6·95 do 7·15, prima 7·15—7·70.

Część ekonomiczna.

Wiedeń. Na wczorajszy targ spędzono bydła rogatego, przeznaczonego na rzeź, ogółem 4605 sztuk. W tem było z Galicyi 115 sztuk, z Bukowiny 36. Przebieg targu był ożywiony. Ceny podniosły się o 50 halerzy. Niesprzedano 24 sztuk. Wołów z Galicyi i Bukowiny sprzedano 12 sztuk po 76 do 80 K., 140 sztuk po 82—90 kor. 2 sztuki po 91 kor. — Buhajów podtuczonych bez różnicy pochodzenia kupowano po 66 do 78, krów podtuczonych po 58—74, bydła chudego po 46—65 koron — wszystko licząc za centnar metryczny żywej wagi.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Budapeszt. *Pester Lloyd* pisze: Niektóre objawy zdają się wskazywać na to, że znowu podjęto akcyę, zmierzającą do załatwienia przesilenia. Wprawdzie nie sprawdziły się doniesienia o podróżach i spotkaniach kierujących mężów koalicyi, lecz zdaje się natomiast być prawdą, że baron Fejervary ponownie stara się dojść do porozumienia ze zjednoczoną większością. Czy mu się teraz lepiej powiedzie — nie wiadomo. Zapewne, że jak pierwej, tak i obecnie nie jest on w możności obiecać ustępstw w sprawie węgierskiej komendy, lecz możliwość rokowań nie jest wykluczona. Przynajmniej wobec złych następstw przesilenia powinna koalicya okazać się skłonną do kompromisu.

Londyn. Do *Timesa* donoszą z Moskwy, że na kongresie ziemstw jednogłośnie zaprotestowano przeciw twierdzeniu Wittego (w rozmowie z korespondentem *Associated Press*), że pomimo wewnętrznych zamieszek Rosya jest zdolną prowadzić dalej wojnę. Większość mówców na kongresie stanowczo twierdziła, że Rosya jest absolutnie niezdolna do dalszego prowadzenia wojny i że zdanie Wittego w tej mierze jest przechwałką dobrą dla cudzoziemca, ale nie mającą wartości wewnątrz caratu. Następnie uchwalono na kongresie wystosować odezwę do narodu i wybrano osobny komitet, który ma tę odezwę ułożyć. W odezwie wypowiedziana będzie cała prawda o stanie wewnętrznym Rosyi, o nadużyciach biurokracyi i o strasznym losie, w jaki wpadnie Rosya, jeżeli nie oswobodzi się z pod despotyzmu biurokracyi.

Londyn. W Izbie gmin oświadczył prezydent ministrów Balfour, że rząd nie ma zamiaru podawać się do dymisyi. Na wniosek Hooda Izba odroczyła się.

Tabris (w Persyi). W Urmii (oddalonej o kilka mil od granicy Kaukazu) zaszły rozruchy, zwrócone przeciw żydom. Splądrowano przeszło 20 sklepów; przeszło 50 osób jest rannych, a jedna zabita. Chrześcijanie nie ucierpieli podczas rozruchów.

Paryż. Niemiecki ambasador Radolin odwiedził wczoraj Wittego.

Belgrad. Dotychczas wybrano 77 radykalistów, 50 umiarkowanych radykalistów, 2 radykalnych dyssydentów, 13 liberałów i nacyonalistów, 4 postępowych, 2 socyalistów, 1 członka stronnictwa chłopskiego. Jak się zdaje uzyska stronnictwo rządowe absolutną większość.

Konstantynopol. O zamachu na sułtana krążą rozmaite wersye. Wkrótce po wybuchu bomb słyszano trzy strzały karabinowe, dane przez albańskiego żołnierza; nie strzelał on w złym zamiarze, ale pragnął w ten sposób, według zwyczajów albańskich dać wyraz wzburzeniu i gotowości bronienia sułtana. Strzały te zrozumieli fałszywie żołnierze syryjscy i byłoby przyszło do krwawego starcia, gdyby nie interwencya kilku oficerów.

Konstantynopol. W wilajecie monastyrskim napadł oddział bułgarskich powstańców na wieś Gradysznicę. Pięć osób, między niemi pewien duchowny, zostało zabitych. 64 domów i dwadzieścia stodół spaliło się.

Ambasadorowie otrzymali onegdaj listy z pogróżkami, wystosowane przez ormiański komitet rewolucyjny. Autorowie listów, wskazując na zawikłane położenie i na obojętność Europy, grożą użyciem gwałtów.

(Depesze popołudniowe)

Wiedeń. Minister Piętak wyjechał do Gasteinu.

Ischl. Przybył tu minister Bylandt-Reid i był dziś u Cesarza na długiej audyencyi. Dziś wieczór odjeżdża do Wiednia.

Kolonia. *Köln. Ztg.* pisze, że zjazd cesarza Wilhelma z carem ma doniosłe znaczenie, ale na razie o treści rozmów, jakie ze sobą mieli, można snuć tylko przypuszczenia. Ale niedorzecznem jest twierdzenie, iż cesarz niemiecki chce podniecić cara do reakcyjnej polityki wewnętrznej i do dalszego prowadzenia wojny. Niemcy mają interes w tem, żeby Rosya zawarła honorowy pokój i prowadziła mądrą politykę reform.

Tyflis. Na policmajstra Kowalewa wykonano dzisiaj zamach zapomocą bomby. Policmajster jest ciężko ranny. Aresztowano dwie osoby.

Linia telefoniczna Lwów-Wiedeń przerwana; wskutek tego depesz telefonicznych nie otrzymaliśmy.

Przyjechali dnia 25 lipca. K. Jagoszewski z Ropczyc. R. Steier z Sanoka. G. Wanrot z Rodatycz. A. Jellinek z Berna. A. Sienicki z Kołomyi. L. Kahn z Stuttgartu. L. Kruszyna z Jasła. M. Kimelmann z Wolicy. J. Höfner. J. Duschner, E. Mayer, J. Pollak i J. Hudzikowski z Wiednia. L. Rauch z Sokala. R. Floris z Poli. F. Ponio z Jarosławia. A. Łukasiewiczowa z Rosyi. K. Lipiński z Kamienicy. J. Sosenko z Radziechowa. L. Rado z Budapesztu.

Przyjechali dnia 25 lipca. F. br. Heydel z Berenian. O. Schnell z Firlejówki. Dr. Grecescu z Czerniowiec. K. Barańska z Razhilcza. Dr. S. Haczewski z Kołomyi. M. Sroczyński z Borysławia. M. Polański z Rostoczek. P. Łobaczewski z Czortkowa. A. Urich i A. Weiss z Wiednia. X. Krzyżanowski z Tarnowicy. S. Zdanowicz z Borysławia. P. Śliwińska z Borysławia. E. Chmielewski z Wyżnicy. M. Łukasiewicz z Węgier.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 25 lipca. (Giełda towarowa). Cukier 23·60—23·70, na październik i grudzień 21·40—21·50. — Spirytus: 40·80—41·20 (nominalnie). — Nafta galicyjska bez zmiany.

Berlin 25 lipca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·20. Spirytus 00·00.

Paryż 25 lipca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 99·37. — Mąka („Fleur de Paris") 31·15.

Frankfurt 25 lipca. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 207·00. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000·00 Disconto 190·10. — Laura 000·00. Usposobienie silne.

Lwów 26 lipca. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 587.— do 592.—. Banku hipotecznego po 240 Kor. 545·00 do 555.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron — 920 Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. do 260·—.

Ruch pociągów kolejowych.

ważny od 1 maja 1905 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***. 6.00, 8.50, 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2.30** 7.20, 11.55 5.30, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**. 7.00, 11.34, 5.15, 10.02*.
Z Czerniowiec: **12.20*. 1.40**, 6.10, 5.45, 9.10*.
Z Kołomyi: 10.05.
Z Stanisławowa 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.32.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego 7·29, 11·45, 10·50*.
Z Tuchli 3·45 (od 15/6 do 30/9).
Z Bełzca 5·00.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45*, 8.25. 2.50**, 4.15*, 8.35, 6.35*, 11.00*
Do Rzeszowa: 4.10.
Do Podwołoczysk z dw. głów.: **2.00**, 6.30, 10·55, 9.00*, 11.05*; z Podzamcza: **2.13**. 6.48, 11.15, 9.28*, 11.24*.
Do Czerniowiec: **2.51***. **2.40**, 6.15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.10*.
Do Rawy i Sokala: 7.30*.
Do Jaworowa: 6.55, 5.58.
Do Sambora: 9.00, 4.20, 10.55*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 5.50.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05* (od 1/5 do 30/9).
Do Ławocznego 7.30, 2.55, 6.25*.
Do Bełzca 11.10.

Pociągi lokalne.

Przychodzą do Lwowa:

Z Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 6.50, 7.50 9.55, przedpołudniem, tylko w niedziele i rz. kat. święta, 1.46, po południu, tylko w niedzielę i rz. kat. święta 5.05, 4.16 5.00, 7.41*, 8.55* (od 4/5 10/9 włącznie).
Z Janowa: 8.18, 1.15, (od 1/5 do 30/9) 4.32, 8.45* (od 14/5 do 10/9) 9.25* (od 14/5 do 10/9 w niedziele i święta).
Ze Szczerca: 10.10* (od 1/6 do 10/9 w niedziele i święta)
Z Lubienia W.: 11.52* (od 14/5 do 10/9 w nied. i święta)

Odchodzą ze Lwowa:

Do Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 5.50*, 8.30, (tylko w niedziele i rz. kat. i święta); 12.30 po południu (tylko w niedziele i rz. kat. święta) 2.10, 3.20, 6.10; 7.30*, 7.55*.
Do Janowa: 6.55, 9.15, (od 1/5 do 30/9) 1.35 (od 14/5 do 10/9 w niedziele i rz. kat. święta). 3.08, (od 14 maja do 10 września) 5.56.
Do Szczerca. 1.55 (od 1/6 do 10/9 w niedzielę i święta).
Do Lubienia W.: 2.15 (od 14/5 do 10/9 w niedz. i święta).
Do Rawy Ruskiej 11·15* (każdej niedzieli).

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

32)

Kradzież miliona funtów.

(Opowiadanie starego kawalera.)

(Ciąg dalszy).

Ciemna postać podeszła, rzuciłem się na nią i to tak szybko, że biedak ani się opatrzył, jak chwyciłem go za gardło. Drugą ręką objąłem go wpół, chcąc na ziemię obalić. Był silny i dzielnie się szamotał, ale zaskoczony z nienacka, w pierwszej chwili stracił przytomność umysłu, z czego ja nie omieszkałem skorzystać. Gdyśmy się tak pasowali ze sobą, karabin mu się usunął i uderzył w mur z wielkim łoskotem. Zdało mi się, że wszystko już przepadło.

Dobywająo resztek sił, powaliłem go na ziemię (czegobym nigdy w zwyczajnych warunkach nie dokazał). Runął, jak kłoda. Przekonawszy się, że jest bezwładnym, podbiegłem do liny i ku mojemu zdziwieniu i radości, zobaczyłem, że jej Malajczyk nie puścił.

Ale Veneda był widocznie omdlony, bo nie wspinał się w górę. Co wobec tego począć? Czy pozostawić go własnemu losowi, czy też skoro on nie mógł wspiąć się do mnie, samemu spuścić się do niego? Należało szybko decyzyę powziąć, bo szyldwach za każdem przejściem musiał się zatrzymać przed budką dozorcy, ten zaś, nie widząc go w czasie oznaczonym, zaniepokoi się zapewne i wyjdzie zobaczyć, co się stało; wtedy byliśmy zgubieni.

Myśl ta zagrzała moją energię. Chwyciłem sznur, postanawiając zbadać, co się po tamtej stronie muru zdarzyło. Dziś jeszcze, gdy przypominam sobie tę moją wycieczkę, dreszcz mnie przebiega. Zdawało mi się, że się to nigdy nie skończy, że wspinam się na tysiące stóp w górę. Nareszcie znalazłem się u szczytu muru, zsunąłem się wzdłuż oberwanego gzemsu i ujrzałem o parę stóp niżej postać, zahaczoną o jego odłam. Zbytecznem dodawać, że tą bezwładną postacią był Veneda. Wisiał zawieszony na sznurze, jedną nogą uwiązł pomiędzy zwieszającym się gzemsem a murem, głowę miał skaleczoną.

Dość mi było rzucić na niego okiem, aby poznać, że sam sobie poradzić nie może. Oparłem nogę o zręb gzemsu i nachyliłem się nad omdlonym. Zadanie było niełatwem ze względu na wzrost Venedy. Jakim cudem nie dostrzeżono nas z więziennego podwórca, tego pojąć nie mogę, zawdzięczaliśmy to chyba ciemnej nocy, gdyby bowiem księżyc przyświecał, zobaczonoby nas z pewnością.

Wziąłem Venedę na plecy i spuściłem się ostrożnie po sznurze. Zsunąwszy się wreszcie na ziemię, przy pomocy Malajczyka zaniosłem zemdlonego do dorożki. Veneda nie odzyskiwał przytomności. Położenie moje było trudnem — bo nie znając malajskiego języka, nie wiedziałem, jak się z dorożkarzem rozmówić, więc tylko powtarzałem jedno w kółko: „Tanjonk Priok, Tanjonk Priok", a każde słowo poprzedzając *guilderem* i obiecując wciąż dziesięć *guildersów* za pomoc. Byłem tak podniecony, że gdyby dorożkarz chciał mnie zdradzić, zdaje mi się, że byłbym go na tamten świat wyprawił bez wahania.

Wytrzymałość konika była zdumiewającą, biegł pod górę i z góry, ani razu nie potknął się, choć nogi mu grzęzły w błocie. Chwilami księżyc z za chmur się wyłaniał i dziwnie smutną okolicę oświecał.

Przed oczyma mojemi przesuwały się uprawne pola, kanały, cmentarze, chaty i domki; obrazy zmieniały się, jak w kalejdoskopie. Kilkakrotnie towarzysz mój do przytomności wracał, i znowu omdlewał. Widząc go w takim stanie, zaczynałem się trwożyć o jego życie, przychodziło mi nawet na myśl ucieczki zaniechać i schronić się w jakiemś miejscu odległem i ustronnem, aż dopóki nie zdołam go ocucić i dostarczyć mu lekarskiej pomocy. Ale ta ostateczność okazała się zbyteczną, w chwili bowiem, gdyśmy zbliżali się do portu, Veneda oczy otworzył.

— Co się stało? — zapytał słabym głosem, próbując podnieść głowę i rozejrzeć się dokoła.

Wytłómaczyłem mu, gdzie jest, i zapytałem, jak się czuje?

— Nie wiem doprawdy — odparł — zdaje mi się, że poniżej pasa już nie żyję. Co mi się zdarzyło? O! przypominam sobie. Ten gzems przeklęty!

Odwrócił się do woźnicy i powiedział mu parę słów po malajsku; chłopak coś odmruknął.

— Pytałem go — objaśnił mnie Veneda — czy może nas podwieźć do portu bez zwrócenia uwagi. Obiecał, że tego dokaże. Powiada, że się hojnej nagrody spodziewa... I otrzyma ją z pewnością, byle nas tylko bezpiecznie na miejsce dostawił.

Veneda umilkł, po chwili wziął moją rękę i głosem drżącym rzekł:

— Nie wiem doprawdy, jak ci mam dziękować za to, coś dla mnie uczynił. Obawiam się tylko, że to napróżno. Ja już się nie wygrzebię.

— Przykro mi to słyszeć odparłem — ale wszelkich starań dołożę, aby się te przeczucia nie ziściły.

— Dziękuję ci, mój chłopcze — odparł — ale moja rada taka: zostaw mnie własnemu losowi, a sam się ratuj, póki czas jeszcze.

Nie pamiętam, co mu odpowiedziałem na to, ale zapewne, że skoro wsiedliśmy do jednej łodzi, to razem tonąć będziemy.

Rzecz dziwna, widząc go bezsilnym, jak dziecię, miałem dla niego tyle współczucia, jak gdyby to nie był człowiek obcy, wczoraj poznany, ale mój najszczerszy przyjaciel.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny. **Wacław Masłowski** — Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. — Z drukarni E. Winiarza.